

NR 38
marzec–kwiecień
2002

aleje 3

DWUMIESIĘCZNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY

ISSN 1427-8812 CENA 1,50 ZŁ

W NUMERZE:

Burszewski o pisarzu * Grupa 01 o sobie * Kmieciak o oportunistach * Marijańska o Mormonach





Fot. Piotr Halter – „Portret I”, „Skrzypce” (str. I okładki)

błazen	4
ze sztuką na ty	6
muzyka	7
reportaż	9
poezja	14
proza	20
rymadła	23
zapiski o świcie	24
z miasta	26
plastyka	29
fotografia	31

aleje 3

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
e-mail: aleje3@emediapro.com.pl

Redaktor naczelny

KRYSTIAN PIWOWARSKI

Zespół redakcyjny:

SŁAWOMIR BURSZEWSKI
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja tekstów i korekta

ANNA WOLAŃSKA

Redaktor techniczny

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

DTP



ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
http://www.emediapro.com.pl

DRUK

DRUKARNIA **KEMOT**

Częstochowa, ul. Krakowska 45

Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

PRZEGLĄDAJĄC KORESPONDENCJĘ internetową doszedłem do wniosku, że istnieją pola komunikacji, gdzie nie obowiązują żadne prawidła ortograficzno-gramatyczne. Na pewno wiedzą państwo jak wyglądają e-maile: brak znaków przestankowych, wielkich liter, typowo polskich znaków (ą, ę, ć, ń). Pisze się tak jak się mówi. Fakt ten w maju ub. roku natchnął pewnego dziennikarza z „Polityki” do wysunięcia postulatu zreformowania pisowni polskiej tak, aby nasz język był w prawidłach prosty i przejrzysty, łatwy do nauczenia się przez obcokrajowców. Ów dziennikarz udowadniał, że dążenie do uniwersalizacji językowej jest obecnie powszechne (np. w Anglii i w Niemczech) i dzięki niemu te języki mają większą siłę przebicia w dżungli lingwistycznej świata. Co gorsze, twierdził że następne pokolenie będzie się już posługiwać zupełnie innym językiem. Dziennikarz ów został bezlitośnie wyśmiany przez autorytety polonistyczne i jego projekt zaliczono do utopijnych. Byli tacy, którzy posądzali go o milenijną prowokację, taką jaką po I wojnie zrobił Bruno Jasiński w słynnym obrazoburczym manifestie futurystycznym „Smrut w bótońcerce”. O całej sprawie szybko zapomniano. Odbył się kolejny ogólnopolski konkurs ortograficzny, gdzie dyktowano zawile, niezrozumiałe i belkotliwe zdania wymyślane przez najbardziej perfidnych oprawców od „ó” i „u”. Myślę, że temat będzie wracał co jakiś czas jak bumerang i w końcu zmusi naszych purystów do jakichś ugodowych kroków. W tej chwili na naszych oczach dokonuje się ewolucja cywilizacyjna (niektórzy nazywają ją schyłkiem epoki Gutenberga) i jest to chyba najodpowiedniejszy moment, żeby coś w tej dziedzinie zmienić. Jak cały świat, tak i my przestawiamy się z modelu społeczeństwa humanistycznego na techniczne i pewne konsekwencje tego procesu muszą być. Zmiany wymusi samo życie, lecz póki co męczymy się z relikta-
mi wymowy i pisowni staropolskiej, o której już mało kto dzisiaj pamięta.

Obróńcy czystości języka będą udowadniać, że nie zmiany cywilizacyjne, a zwykłe niedbalstwo ludzkie w tym internecie się objawia i mają poniekąd rację. To wygodnictwo człowieka jest trywialnym motorem postępu i zmian! Jeżeli większość ludzi (pospolici użytkownicy języka) zaczyna sobie upraszczać porozumiewanie

się, to ta większość ma prawo do usankcjonowania zmian w ortografii, gdyż język należy do mas, a nie do wąskich elit. Gdyby sprawa dotyczyła tylko internetu! Tak popularna telefonowa komórka wypracowała sobie nawet kody SMS-owe, rodzaj pisma obrazkowego, które za pomocą jednego znaku mogą wyrazić cały zwrot. Chińszczyzna? Słowo Częstochowa w tym zapisie wygląda tak: „_+ + +_”. Proszę też zajrzeć na strony dyskusyjne albo do „gadu-gadu”.

Język jest organizmem żywym i podlega nieustannym zmianom. Na początku lat dziewięćdziesiątych przeżyliśmy inwazję słownictwa angielskiego, głównie nowomowy menedżerskiej i komputerowej. Teraz mamy ustawę o ochronie języka polskiego i przed tą terminologią się bronimy, niekiedy w absurdalny sposób. Może i słusznie, bo nie ma sensu żywcem przeszczepiać anglicyzmów. Wiele jednak wyrazów i tak przenika do języka potocznego w wersji spolszczonej, oswojonej. I te już zostaną na stałe (czat, net, surfować, pager itp.). Podobne ciekawe zjawiska można zauważyć w slangu młodzieżowym; młodzi ludzie z upodobaniem skracają „zbyt długie” wyrazy, np. spoks, nara, teges itp. Za kilkanaście lat język literacki znany z lektur szkolnych stanie się następną wersją staropolszczyzny, którą czyta się z objaśnieniami i słownikiem. Zaś nowy język będzie na pewno prostszy, uboższy, mniej zróżnicowany, prymitywny jak gwara Alexa z „Mechanicznej Pomarańczy”. Mniej można będzie nim wyrazić, o ile ktoś jeszcze będzie chciał coś wyrażać. Zachodzi tu niepokojący proces jałowienia języka prowadzący do ograniczenia słownictwa do najwyżej trzystu słów. Jest to zapewne odbicie ogólniejszego procesu jałowienia kultury, mentalności i obyczajów. Między ludźmi wytwarzają się więzi typu „podaż-popyt”, a do ich zaspokojenia nie potrzeba zbyt wielu słów. Nie jestem zwolennikiem skrajnych rozwiązań, myślę że prawda leży gdzieś po środku, że uda się połączyć tradycję z nowoczesnością (np. cool = kól), i że uda się wprowadzić pewne usprawnienia w myśl sentencji wygłoszonej w XVI wieku przez Mikołaja Reja z Nagłowic. Mam też nadzieję, że nie grozi nam wizja „Ziemi jałowej” opisanej przez Thomasa S. Eliotta. Byłaby to smutna przyszłość.

S. Burszewski

Z PERSPEKTYWY BŁAZNA



MAŁO KTO DZISIAJ PAMIĘTA POSTAĆ LENI Riefenstahl. Ostatnio, prawdopodobnie w związku ze zbliżającą się setną rocznicą jej urodzin, została przypomniana przez jeden z periodyków. Kim była Leni Riefenstahl? Otóż, ta niemiecka reżyserka filmowa w czasach swej młodości była zafascynowana osobowością człowieka, którego idee i działalność zaznaczyły się głęboko w historii dwudziestowiecznej Europy i całej kuli ziemskiej. Adolf Hitler, – bo o nim mowa – stał się głównym bohaterem wielu filmów propagandowych zrealizowanych przez Leni w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego stulecia. Trzeba przyznać, że rzemiosło reżyserki było na światowym poziomie. Dwa z jej filmów zostały nagrodzone na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji w latach 1935 i 1938. Jednak po klęsce faszyzmu w roku 1945 Leni Riefenstahl zmuszona była odpowiadać za swą działalność w okresie rządów Hitlera. Wiele razy musiała stawać przed sądami – wewnętrznymi, środowiska filmowców i publicznymi, które miały ocenić szkodliwość jej działań. O ile środowisko filmowców skazało Leni na wieloletnią zawodową banicję, o tyle sądy publiczne miały utrudnione zadanie. Dlaczego? Miały one bowiem orzec czy Leni Riefenstahl

czynnie wspierała nazizm i ponosi współodpowiedzialność za jego zbrodnie czy też jej działania były wynikiem oportunistu. Za czynne wspieranie nazizmu groziło więzienie, zaś oportunizm nie był karany. Wyrokiem sądu Leni została uznana za oportunistkę.

Cóż to takiego ten oportunizm, skoro stanowi furtkę na wolność dla propagatorów zbrodniczych ideologii? Według słowników to – chyba w najłagodniejszej postaci – konformizm, ugodowość. Czytając dalej słownikową definicję – pojawia się określenie: „rezygnacja z zasad dla doraźnych korzyści”. To już brzmi trochę groźniej. Wydaje się jednak, że humanitarni sędziowie, przed którymi stawała reżyserka, wiedzieli, że oportunizm jest szeroko rozpowszechnioną cechą ludzi, że trzeba by skazać całe narody za istnienie faszyzmu lub radzieckiego totalitaryzmu, którego odmiany doświadczyliśmy na własnej skórze. Po takim wyroku sądu pozostaje w nas wszystkich niedosyt. Jesteśmy pozostawieni sami sobie z bardzo ważnymi pytaniami. Czy zatem mamy się zgodzić z wszechobecnym oportunizmem, oportunizmem w nas samych i w ludziach wokół? Czy iść łatwą drogą do portu (od łacińskiego *opportunus* – w kierunku portu) i nie wychylać się? Tym bardziej, że walka z oportunizmem jest niebezpieczna. Możemy być narażeni na szykany lub nawet stać się klientami Urzędu Pracy w przypadku, kiedy np. zawalczymy z oportunizmem swego pracodawcy. A może postawmy inne pytanie. Kto najbardziej jest zobowiązany do walki z oportunizmem w sobie samym i wskazywanie na postawy oportunistyczne w społeczeństwie? Na tak postawione pytanie odpowiedź nasuwa mi się natychmiast – inteligencja, a wśród niej artyści. Wydaje się, że oportunizm i sztuka wykluczają się wzajemnie. Potwierdzeniem tego był wyrok niemieckiego środowiska filmowców dotyczący sprawy Leni Riefenstahl.

Spójrzmy na nasze miasto. Jak mają się u nas ludzie kultury, którzy usiłują walczyć z wszechobecnym oportunizmem? Wydaje się, że ci, którzy najwięcej mogliby zrobić w tym kierunku zostali zepchnięci na margines życia kulturalnego, a wielu, uznając walkę za beznadziejną – wyjechało stąd szukając bardziej sprzyjającej sztuce atmosfery. Dlatego Kazimierz Madej, którego korzeni należy upatrywać w Częstochowie założył kabaret Loch Camelot w Krakowie. Dlatego Rafał Kmita realizuje kolejne spektakle w krakowskim Teatrze STU. Dlatego, na co dzień nie mamy kontaktu z liderami grup rockowych

Formacja Nieżywych Schabuff czy T. Love, którzy wywodzą się z Częstochowy. Dlatego brakuje u nas sceny rockowej z prawdziwego zdarzenia. Dlatego brakuje u nas stałej działalności kabaretowej. Dlatego brakuje u nas stałego miejsca spotkania z alternatywnym teatrem. Dlatego wszelkie działania sceniczne ocenia się z pozycji sprawności rzemieślniczej i frekwencji, a nie według wartości przekazu, o ile taki w ogóle się pojawia.

Wydaje się, że w naszym „środowisku” kulturalnym Leni Riefenstahl nie miałyby żadnych problemów. Pozostałaby znakomitą „artystką”, choć tak naprawdę była tylko genialnym rzemieślnikiem i człowiekiem sukcesu. Za takiego uznawana jest do dzisiaj. Cenię ją za to, lecz nie nazwę jej artystką.

* * *

W powodzi informacji związanych z atakiem terrorystów na World Trade Center w Nowym Jorku i budynek Pentagonu w Waszyngtonie trochę niezauważenie przeszła wiadomość o wypowiedzi, jakiej udzielił na konferencji prasowej dotyczącej Hamburgskiego Święta Muzyki uznany kompozytor, Karlheinz Stockhausen. Odpowiadając na pytanie dziennikarza przedstawił swój prywatny pogląd na atak terrorystów na WTC i Pentagon: – To, co tam się zdarzyło, jest – teraz muszą państwo przestawić swoje mózgi – największym dziełem sztuki. Udało się coś, o czym w muzyce możemy tylko śnić: przez dziesięć lat ci ludzie zawzięcie ćwiczyli dla jednego tylko koncertu, podczas którego umarli. To największe dzieło sztuki, jakie powstało w kosmosie. Tego ja nie potrafię. W porównaniu z tymi ludźmi jesteśmy niczym jako kompozytorzy.

Gdyby rozpatrywać artystę jako człowieka służącego sztuce, to ta wypowiedź jest jak najbardziej usprawiedliwiona i uzasadniona. Artysta dążący w swej działalności do perfekcji w wykonaniu dzieła ma pełne prawo tak myśleć. Wielu ludzi związanych z kulturą myśli tak do dzisiaj. Jednak już jakiś czas temu kultura zaczęła podążać w kierunku, w którym dążymy do połączenia estetyki z etyką. O ile atak na World Trade Center był (w sferze estetycznej) spektaklem, który poruszył miliony ludzi, o tyle etycznie była to jedna z najohydniejszych zbrodni w dziejach ludzkości. Spektakularność tego wydarzenia nie może przesłonić jego moralnego wymiaru. Niestety wielu artystów w dążeniu do

sukcesu i stworzenia spektakularnego wydarzenia zapomina o tym, że jednym z podstawowych zadań sztuki jest przekaz treści etycznych. Piękno i Dobro to wartości, które, jak się wydaje, nie mogą się negować.

Niestety w wypowiedzi Stockhausena nie można się doszukiwać prowokacji etycznej, która jako taka usprawiedliwia wiele działań artystycznych. Wypowiedź kompozytora była jedynie estetyczną apologią gigantycznej zbrodni. Geniusz kompozytorski Stockhausena nie usprawiedliwia chorej hierarchii wartości.

Często zastanawiam się patrząc na „życie kulturalne” naszego grodu, czy przypadkiem nie wychowujemy kolejnego pokolenia „artystów”, dla których sztuka będzie bogiem, artystów, którzy zrobią wszystko dla sławy, poklasku, spektakularnego „wydarzenia kulturalnego”. Sztuka ponad wszystko, a przede wszystkim ponad człowieka – to hasło, które zdaje się być drogowskazem wielu „artystów” i działaczy kultury naszego miasta.■

Tomasz Kmiecik

P.S. Natychmiast odwołano cztery koncerty Stockhausena, które miały się odbyć na hamburskiej imprezie. Cała Europa spontanicznie przyłączyła się do bojkotu kompozytora, odwoływane są planowane z dużym wyprzedzeniem koncerty lub też wykonania oper (także prapremierowe) Stockhausena.

P.S. 2 Czy w ogóle ktoś czyta tę gazetę? Czekam na polemiki.



OGLĄDAJĄC W TV WYWIADY Z PISARZAMI (SZCZEGÓLNIEMŁODYMI) łatwo zauważyć, że ci strasznie się męczą pod ostrzałem pytań wąskonosych krytyków i seksonnych dziennikarek. Nie wiem czy zawsze rozumieją pytanie, z niecierpliwością spoglądają za okno, palą papierosy jeden za drugim, kryjąc swoje zniecierpliwienie i bezradność. No bo co ich obchodzi cała ta teoretyczna nadbudowa? Oni najzwyczajniej piszą książki, a poza tym są normalnymi ludźmi uwikłanymi w swoim prywatnym świecie. Ich życie przypomina często nudną telenowelę, a że piszą – cóż, praca jak każda inna. Czy nie lepiej pozwolić autorom poczytnych książek odpowiadać w poniżej przedstawiony, nieskrępowany sposób? Czy nie przybliży ich to do czytelnika?

DZIENNIKARKA – Jest pan najpopularniejszym pisarzem młodego pokolenia...

PISARZ – No i co z tego.

KRYTYK – Jest pan postrzegany jako twórca środkowoeuropejski, kontynuator tradycji Milana Kundery i Josifa Brodskiego...

PISARZ – To mój dom, obora, pies na łańcuchu, zagroda.

DZIENNIKARKA

Nie tęskni pan za wielkomijskim zgiełkiem? Kulturą przez duże K? Wernisażami, spotkaniami?

PISARZ

W szopie mam gazika. Czasem jadę do doliny, do knajpy.

KRYTYK

Ostatnia pana książka jest z ontologicznego punktu widzenia chybiona. Idea świata bez Boga jakby gdzieś już była. Po-
dąża pan śladem neoplatonistów?

PISARZ

(częstuje „Klubowymi”) Jaracie?

DZIENNIKARKA

Kobiety w pana twórczości to temat rzeka. Jednak nigdy na kartach swoich książek otwarcie nie ustosunkował się pan do feminizmu.

PISARZ

Maryna właśnie poszła po wodę do studni.

KRYTYK

Czy hrabalowski styl narracji jest dla pana ścisłym i kurczowym wzorcem? Nie zamierza pan eksperymentować z fabułą, czasem powieściowym, językiem? A może zmieni pan zainteresowania środowiskowe?

PISARZ

Mogę pisać byle co i o byle czym.

DZIENNIKARKA

Od kilku lat kreuje się pan na autorytet moralny czy wręcz na sumienie pokolenia. Przez wielu uważany jest pan nawet za guru całej przegranej generacji. Czy burzliwa biografia pomaga w kształtowaniu takiego etosowego wizerunku?

PISARZ

(nalewa do szklanek „czystej”) Starzeję się.

KRYTYK

Człowiek w pana książkach jest statyczny, nie rozwija się, a nawet się stacza. Panuje atmosfera oczekiwania na cud. Czy po roku 89-tym taki bohater ma jakiegokolwiek uzasadnienie?

PISARZ

(drapie się) Syf mi wyskoczył na gębie.

DZIENNIKARKA

O czym będzie następna powieść? O straconej młodości czy kolejną retrospekcją nielegalnych wypraw bałkańskim szlakiem?

PISARZ

O tym co zwykle. O babraniu.

KRYTYK

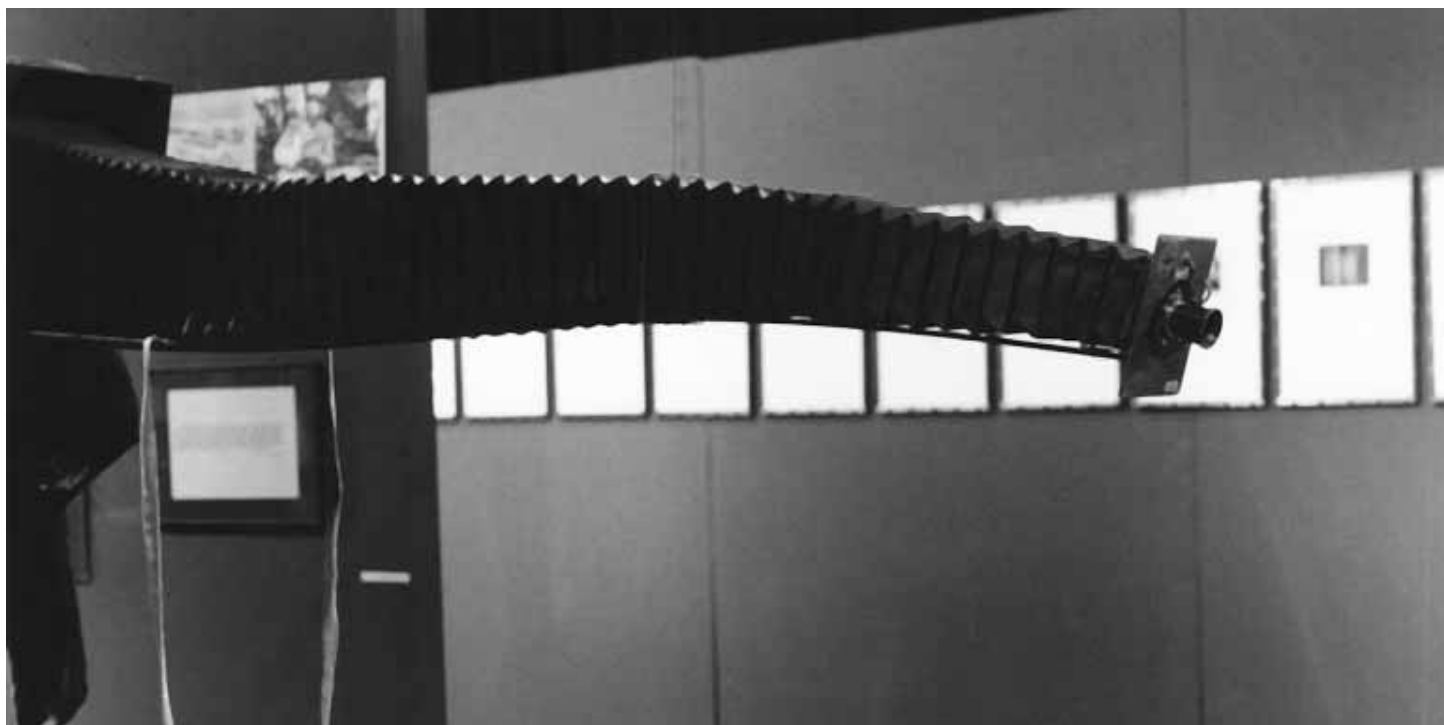
Postmodernizm wyklucza tradycyjny sposób opowiadania. Nie wyczuwa pan kryzysu wielowątkowej prozy? Czy Derrida ma według pana rację?

PISARZ

Krowa mi się cieli, muszę iść.

S. Burszewski

Fot. Janusz Mielczarek – z wystawy „Czas w fotografii – czas fotografii”



COLLEGIUM CANTORUM INACZEJ

Rozmowa z Małgorzatą Siadlak, menedżerem chóru i jego członkinią

Jako żona dyrygenta „Collegium Cantorum” jest Pani zapewne związana z tym chórem od początku jego istnienia?

Przed piętnastu laty podjęliśmy z mężem próbę – jak się okazuje udaną – stworzenia zespołu chóralnego. Pomysł zrodził się z fascynacji muzyką chóralną.

Jak z perspektywy lat wspomina Pani początki pracy w chórze?

Początki były trudne, ale i niezwykle. Krok po kroku zdobywaliśmy nowe doświadczenia zarówno muzyczne, jak i organizacyjne. Największym jednak wyzwaniem była praca z ludźmi. Każdy z członków chóru to inna osobowość, indywidualność mająca inne oczekiwania i potrzeby, a chór to drużyna, która musi grać razem, to jeden organizm, który wspólnie oddycha i przeżywa (oczywiście muzykę). Przez kilka lat działaliśmy bez jakiegokolwiek oparcia. Jedyną rzeczą, której mieliśmy pod dostatkiem, był (i jest nadal) zapal i wspaniali ludzie, którzy wspólnie z nami chcieli uczestniczyć w tworzeniu zespołu. W drodze do miejsca, w którym jesteśmy teraz, zdobywaliśmy każdy szczebelek drabiny możliwy do zdobycia – nie dane nam było „podjechać windą”. Sytuacja zmieniła się, kiedy w roku 1991 patronat nad „Collegium Cantorum” przyjął Wyższa Szkoła Pedagogiczna, a w 1996 Politechnika Częstochowska. Sukcesy artystyczne spowodowały również wsparcie ze strony Urzędu Miasta i zmieniły sposób postrzegania chóru w środowisku.

A jak przebiegała Pani droga artystyczna?

Moja przygoda z muzyką rozwijała się równoległe z plastyką. Już w szkole podstawowej śpiewałam w chórze i zdobywałam nagrody w konkursach plastycznych. W pewnym okresie życia plastyka zdominowała muzykę – rozpoczęłam studia plastyczne. I tam właśnie, na wspólnych zajęciach (jak mówiliśmy) muzyków i plastyków gdzieś wśród innych dziewcząt upatrzył mnie sobie mój obecny małżonek, a kiedy na jakiejś



wspólnej imprezie zobaczył mnie śpiewającą z gitarą, był pewien, że to ta. I wtedy „przypuścił atak”. Wprowadził mnie do chóru filharmonii, uczęszczał wraz ze mną na zajęcia z rzeźby (to znaczy wyciągał mnie z zajęć pod różnymi pretekstami – nie zdradzę jakimi), a zakończyło się to ślubem i szczęśliwym małżeństwem (w tym roku mija osiemnaście lat).

Jak zmieniała się Pani rola w „Collegium Cantorum”?

Jak w każdej dziedzinie – ewoluowała. Dawniej, kiedy koncertowaliśmy tylko w okolicy Częstochowy, miałam mniej pracy (ale i doświadczeń

również). Teraz koncertujemy na całym świecie, nagrywamy kasety, płyty, tworzymy własne imprezy, jak „Akademickie Spotkania Muzyczne” – to wszystko wiąże się z ogromną pracą organizacyjną i z ogromnymi finansami. Mam teraz mniej czasu na śpiewanie, praca menedżera pochłania mnie niemal w całości. Dobre funkcjonowanie zespołu opiera się na bardzo wielu połączonych ze sobą elementach, które muszą współpracować. Dobra organizacja pomaga te elementy połączyć, powiązać. A jednocześnie wciąż trzeba pracować nad tworzeniem dobrego wizerunku, co nie jest sprawą prostą, wymaga czasu i niezliczonej ilości zabiegów.

Pani działalność jako menedżera zespołu jest „niewidoczna” dla publiczności, natomiast niezmiernie istotna dla funkcjonowania chóru. Na czym ona polega?

Cóż, samo pisanie wniosków o różne dotacje, pilnowanie terminów zgłoszeń na konkursy i festiwale, budowanie trafnych, przekonywujących informacji to rocznie stopy papierów. Spotkania i rozmowy ze sponsorami, przygotowywanie się do każdego spotkania w inny sposób, przygotowywanie na każde z nich materiałów informacyjnych, pism przewodnich. Trzeba też szukać nowych, atrakcyjnych dla chóru, kontraktów, utrzymywać więź z zaprzyjaźnionymi chórami, instytucjami. Organizowanie koncertu to załatwianie sali (co wbrew pozorom nie jest proste, nawet w wypadku kościoła, ponieważ trzeba przenieść msze itd.), przygotowanie plakatów, zaproszeń, wielokrotne rozmowy z drukarnią, dokonywanie poprawek i wiele innych zabiegów. W wypadku organizowania tournée koncertowego jest jeszcze więcej szczegółów do dogrania, jak choćby dotarcie do osób, które mogłyby na miejscu zająć się organizacją naszego pobytu, czy dopasowanie możliwości pracy kierowcy do terminów koncertów. Zanim wyjeżdżamy w trasę, wszystko musi być zapięte na ostatni guzik.

Czy łatwo jest być „żoną szefa”, w dodatku tak wymagającego, jak Janusz Siadlak?

Myślę, że byłoby trudno, gdybym nie lubiła tego, co robię. Nowe zadania, nowe wyzwania, a przede wszystkim sukcesy dają mi nowe siły do pracy i to jest fascynujące.

Czy chór jest obecny w życiu rodzinnym Państwa?

Myślę, że chór jest zbyt mocno obecny w naszym życiu rodzinnym. Niestety nie posiadliśmy z mężem

umiejętności rozdzielania pracy od życia rodzinnego i to uważam za błąd, ale pracujemy nad tym.

Dlaczego uważa to Pani za błąd?

Ponieważ dom powinien być miejscem, w którym najważniejsza jest rodzina, w którym pielęgnuje się uczucia, bo one jak rośliny – nie pielęgnowane mogą umrzeć. Są również bardzo odporne gatunki i nam się chyba takie uczucie zdarzyło (odporne), a nasze dzieci wspaniale sobie radzą w warunkach, jakie im stworzyliśmy. Nie chcę powiedzieć, że je zaniedbujemy, jednak myślę, że chciałyby mieć nas więcej dla siebie.

Czy dzieci też wychowują Państwo w duchu muzycznym i czy w przyszłości będą śpiewały w „Collegium Cantorum”?

Dzieci wychowują się w klimacie muzyki. Oboje są uczniami szkoły muzycznej. Myślę, że szesnastoletni syn, Ludwik, niebawem zasili szeregi „Collegium Cantorum”, a dziesięcioletnia Helenka musi jeszcze poczekać, choć bardzo chciałaby już śpiewać w chórze.

Czy jako menedżer może nam Pani zdradzić plany chóru na najbliższe miesiące?

Plany jak zwykle są bogate: liczne koncerty, nagranie nowej płyty, udział w konkursach, wyjazd za ocean, do Niemiec, koncert Jubileuszowy, kolejne już „Akademickie Spotkania Muzyczne”.

Dziękuję za rozmowę i życzę dalszych sukcesów.

Rozmawiała Natalia Hurnik



notatki amerykańskie

UTAH

CZYLI MORMONI

(fragment książki przygotowywanej do druku)

Ludmiła Marjańska

NIESPODZIANKA: NA DWORCU AUTOBUSOWYM w Salt Lake City nikt na mnie nie czeka. Na próżno się rozglądam, wszyscy pasażerowie Greyhound'a już się rozeszli, jestem sama. Sama w obcym miejscu, przyzwyczajona już do tego, czy też zepsuta tym, że w tym kraju wszystko odbywa się zgodnie z planem, że autobusy przyjeżdżają punktualnie, że zawsze ktoś, uprzedzony wcześniej, oczekuje mnie na dworcu. Czy pomyliłam datę lub godzinę przyjazdu? Czy moja kolejna gospodyni zapomniała o zapowiedzianym gościu?

To, co taką przyjemność sprawiło mi niegdyś, po przylocie do Nowego Jorku, teraz odczuwam jako głęboką przykrość. Osacza mnie obcość, samotność, zmęczenie ciągłymi zmianami. Poczucie bezsensu. Po co ja się tu błąkam? Dlaczego zawracam głowę obcym ludziom? Jestem tylko intruzem, korzystającym z cudzej uprzejmości. Mam tego dosyć. Gdybym mogła wsiąść teraz na latający dywan i przenieść się tam, gdzie będę oczekiwana, gdzie sprawię radość swoim przyjazdem!

Pół godziny oczekiwania na pustej ławce w rozszaleni, w obrzydzeniu do wszystkiego, do siebie i do całej tej cudownej Ameryki. Wreszcie zbieram się jakoś („nie mogę przecież czekać tu do końca świata!”), wlokę się z bagażem w stronę automatu telefonicznego i nakręcam numer, podany mi wraz z nazwiskiem i adresem w moim programie, w szczegółowej „schedule”¹, opracowanej w Nowym Jorku.

Po dłuższym oczekiwaniu zjawia się jeszcze jedna obca Amerykanka, którą muszę powitać ze słodkim uśmiechem, poddać się rutynie pytań i starań, pokrywających absolutną obojętność. Dlaczego jedni dają nam ją odczuć bardziej, gdy wobec innych czujemy się pożądanymi gośćmi? Staje mi przed oczami zwyczajna, o nic nie pytająca Edith, która serdecznie żegnała mnie w Cheyenne.

Na szczęście chłodna dama, której nazwisko natychmiast ulatuje mi z pamięci, nie jest moją gospodynią, ma mnie tylko dostawić na miejsce przeznaczenia, to jest do domu Virginii, która miała jakieś kłopoty z dojazdem na dworzec. Trudno się dziwić: starsza pani, która wita mnie w progu domu, ma z pewnością powyżej osiemdziesiątki i chociaż umysł działa sprawnie, ciało na pewno daje się pani Virginii we znaki. Okazuje mi jednak pewną serdeczność, wyjaśniając na wstępie, że jest wyznawczynią kościoła Chrystusowego Świętych Dnia Ostatniego (The Church of Jesus Christ of Latter Day Saints). Krótko mówiąc, jest Mormonką, w związku z tym przestrzega pewnych reguł, do których ja jednak nie muszę się stosować.

– Pijamy tylko mleko i wodę, ale tutaj jest kawa i herbata, jeśli ją pijesz. Nie palimy także tytoniu.

Śpieszę z zapewnieniem, że ja też nie palę. O alkoholu w ogóle nie ma mowy. Tutaj nie będzie wieczornej szklaneczki burbona ani popołudniowego long drinka, bez których starsze damy na Wschodzie mają trudności z zasypianiem.

Mam do wyboru różowy, duszny pokój gościnny albo polowe łóżko na krytej werandzie, gdzie także wszystko jest przygotowane. Oczywiście wybieram drugą możliwość: tutaj jest chłodniej, cykady brzęczą jak oszalałe, jeszcze nie wiem o tym, że są prawdziwą plagą egipską.

Rano na śniadanie śliwki prosto z drzewa, zrywam je z dziecinną przyjemnością. Virginia (dziwne, nie używa zdrobnienia?) zasiada na werandzie i nie tracąc czasu wyklada mi krótko historię swojego kościoła, objawienie Josepha Smitha, który odkrył złote tablice z przykazaniami. Słyszałam, że Mormoni są przede wszystkim misjonarzami, pragną nawrócić wszystkich na swoją jedyną i prawdziwą, jak uważają, religię. Moja gospodyni wplata artykuły wiary w każdą późniejszą rozmowę.

Mam o Mormonach bardzo mętne pojęcie. Słyszałam jedynie, że mieli po kilka żon, co dzisiaj nikogo już nie dziwi. Tyle, że teraz następną żonę bierze się dopiero po rozwodzie, a jak było u Mormonów? Dawno temu, kiedy wędrowali spod Chicago na Zachód, szukając swojej ziemi obiecanej, wielu mężczyzn umierało, ginęło z głodu czy wyczerpania. Kobiety, czy dlatego, że były chronione przed trudem wędrowki, czy że były po prostu mocniejsze, zostawały w większości. Biologiczna konieczność powiększania rodu ludzkiego sprawiła, że dozwolono Mormonom mieć po kilka kobiet. Dzięki temu przetrwa-

¹ rozkład zajęć

li. Tu, gdy dotarli nad Słone Jezioro, znaleźli swoją Ziemię Obiecaną. Dzisiaj jednak wyznają monogamię i to połączoną z przedziwną, zwłaszcza dla młodzieży, wiarą, że tylko pierwsza żona jest ważna wobec Boga. O tym także mówi Virginia, którą mąż zostawił z dwójką dzieci przed trzydziestu laty:

– Ale to ja byłam jego pierwszą żoną, poślubiłam go „for life and eternity” (na życie i wieczność). To ja połączyłam się z nim w niebie.

Najwyraźniej jest dumna ze swojej wierności wobec mężczyzny, który odszedł, nie dając jej odtąd ani grosza.

– Nie miał – tłumaczy go Virginia. – Ożenił się przecież z tą swoją dwudziestolatką i miał z nią czworo dzieci! Ach, jaki to był uroczy mężczyzna. Zobacz, jaki przystojny.

I pokazuje mi zdjęcie przeciętnej urody Amerykanina, radośnie uśmiechniętego. Nie można już mieć kilku żon jednocześnie, ale odnoszę dziwne wrażenie, że Virginia nie miałaby nic przeciwko temu, żeby tylko mieć tego „uroczego mężczyznę” przy sobie nawet z drugą żoną.

Następnego dnia po południu Virginia jest zaproszona na wesele i postanawia zabrać mnie ze sobą. Zasiada za kierownicą wielkiego wozu. Jakiego? Ba, żebym ja kiedykolwiek pamiętała markę samochodu, do jakiego wsiadam! Po drodze zabieramy jeszcze trzy starsze damy, z których jedna jest prababcią pana młodego.

Gdzieś na przedmieściu elegancki reception-house².

– Jeden z najdroższych – objaśnia z dumą prababcia. – Za samo wynajęcie czterysta dolarów!

Mała sala ozdobiona obficie białymi chryzantemami, umieszczonymi w bańkach na mleko. To podobno najmodniejsze, właśnie duże, białe bańki, a nie wazon. Na ścianach wiszą klatki dla ptaków, ale tylko w jednej siedzi smutna para gołąbków, reszta jest wypełniona bukietami kwiatów.

Większość pań jest w długich toaletach, panowie na czarno.

Wchodzi kolejno pięć młodych druchen, od najwyższej do najniższej, wszystkie w jednokowych, różowych sukniach. Pan młody i jego pięciu dżurków w staroświeckich tużurkach z muszkami czekają już na podwyższeniu. Pannę młodą w tradycyjnej bieli wprowadza ojciec.

² dom przyjąć

³ „Obiecana Dolina”

Po chwili zjawia się nie wyróżniający się niczym mężczyzna w ciemnym garniturze.

– To nasz biskup – objaśnia przejęta Virginia.

Duchowny, nie przypominający w niczym duchownego innych religii, wygłasza swobodne przemówienie, po czym (cytuje) „w imieniu Chrystusa” łączy dłonie młodych, każe im się ucałować i nałożyć sobie wzajemnie obrączki. Żadnych przysięg. To cała, trwająca kilka minut ceremonia ślubna.

A potem, tak jak u nas, ustawia się długa kolejka krewnych i gości, żeby złożyć życzenia młodej parze. Tymczasem prababcia i Virginia decydują się przemknąć do sąsiedniej sali, w której czekają zastawione stoły: kruche babeczki z pieczarkami, do nich jakiś mięsny sos, żółty ser, ogórki, cienko pokrojona bułka, sałatka owocowa, arbuz, winogrona, ciastka.

– Póki jeszcze nikogo nie ma – cieszy się Virginia, obficie napelniają duży, płaski talerz – bo potem wszyscy tu runą!

Zupełnie jak u nas na wernisażach lub oficjalnych przyjęciach! Łakomstwo jest międzynarodowe, mogłoby stać się hasłem „Łakomczuchy wszystkich krajów, łączcie się!” Bo jakże wytłumaczyć rzucanie się na jedzenie tutaj, gdzie wszystko jest dostępne, wszystkiego jest w bród? To, co można by usprawiedliwiać za „żelazną kurtyną”, gdzie takie przyjęcia wyzwały w najbardziej powściągliwych i dobrze wychowanych osobnikach niedopuszczalne w innych okolicznościach zachowanie i niepojęte obżarstwo, tutaj jest dla mnie niepojęte. A jednocześnie budzi jakąś sympatię.

Nakładam sobie wszystkiego po trochu, ale staram się jeść kolejno, nie mieszając owoców z pieczarkami, co zdaje się nie robić różnicy ani prababci, ani dostojnej skądinąd Virginii.

Wychodzimy, nie czekając na parę młodych, która wciąż przyjmuje życzenia. Tylko prababcia pana młodego zostaje, nie rezygnując z wesela. My wychodzimy, bo Virginia chce mi koniecznie pokazać przybycie Mormonów do Doliny Obiecanej. Śpieszymy więc do teatru, żeby stanąć w olbrzymiej kolejce oczekujących – nie, nie do kasy: wstęp jest bezpłatny.

„The Promised Valley”³ to musical z niezłym chórem i baletem, z podkładem filmowym ukazującym drogę pionierów wędrujących z Illinois, które, prześladowani przez tamtejszą ludność, wyznawcy Josepha Smitha musieli opuścić. Całość jest melodramatyczna i raczej ckliwa, ale gdy pomyślę o trudach takiej wędrówki przez niezamieszkałe pustkowia, zacznę rozumieć de-

cyzę jednego z przywódców, który tutaj, nad Słonym Jeziorem, zdecydował się ją zakończyć i to miejsce ogłosił Doliną Obiecana.

Podobno liczba wyznawców Świętych Dni Ostatnich wciąż rośnie, jest ich już ponad trzy miliony, zakładają gminy na całym świecie, rozsyłając wszędzie swoich misjonarzy. Virginia uważa, że powinnam założyć taką gminę w Polsce: dostarczy mi wszystkie materiały, przed tym zaś, drobiazg, tylko pozwolę się powtórnie ochrzcić przez zanurzenie w wodzie. Lekko przerażona mówię, że już raz zostałam ochrzczona, cytuję nawet dość dowolnie przez siebie przełożony na angielski fragment Składu Apostolskiego: „wyznaję jeden chrzest na odpuszczenie grzechów”. Jednak Virginia ma swoje argumenty, a na ich poparcie urządza słodkie przyjęcie, zapraszając osoby należące do jej parafii, o ile tak można przetłumaczyć nazwę „ward” – okręg obejmujący mieszkających w sąsiedztwie wyznawców tej religii.

Virginia przyrządza deser pod nazwą „little trifle” (bagatelka): biszkopt z galaretką, bananami, czekoladą i bitą śmietaną. Na przyjęcie zaprosiła grupę wspierającą, która ma jej pomóc w nawracaniu odpornej Polki. Wieczorem atakują mnie zatem skoncentrowane siły Mormonów.

Przybyli goście są jednakowo eleganccy, roześmiani, życzliwi i chętni do wyjaśniania mi zasad swojej wiary. Ani ze stroju, ani ze sposobu wysławiania się nie mogę odgadnąć ich statusu społecznego, czy profesji. Wiem tylko, że jest tu manikiurzystka, listonosz, nauczycielka i jakiś bankowiec, podobno milioner.

Najpierw ktoś zadaje mi pytanie, czy chcę dowiedzieć się więcej o ich religii. Chcę, ciekawość (pierwszy stopień do piekła!) przeważa skrupuły rzymsko-katolickiego sumienia. Słucham i potakuję, ponieważ to, co mówią jest przepelnione duchem chrześcijańskim i brzmi dosyć znajomo. Jediną wątpliwość wzbudza we mnie artykuł 1, zapowiadający, że Syjon zostanie wzniesiony tutaj, na amerykańskim kontynencie, tu odbudowany będzie Izrael i dziesięć jego Plemion, tutaj też nastąpi powtórne przyjście Chrystusa. Mimo całej dobrej woli, moją polską, zaściankową duszę irytuje amerykańska megalomania. Natychmiast tłumię swój sceptycyzm i usiłuję wzbudzić w sobie pokorę wobec cudzej wiary.

Ci ludzie są tak pełni dobrej woli, tak przepelnieni duchem jedności, tak pełni życzliwości, że robi mi się wstyd.

Na pożegnanie otrzymuję egzemplarz Księgi Mormonów i muszę przyrzec, że zastanowię

się poważnie nad przyjęciem chrztu, ponieważ dopiero dorosły może decydować o wybranej religii, podczas gdy niemowlę, zaledwie pokropione święconą wodą, nic jeszcze nie rozumie. Tylko dlaczego ten warunek poddania się zanurzeniu w wodzie tak mnie przeraża? Mnie, dla której żadna kąpiel – w jeziorach, morzach, oceanach – nie jest straszna, tak, jakby woda była moim pierwotnym żywiołem? Pierwiastek duchowy związany z obrzędem ponownego chrztu jest mi obcy, za głęboko tkwi we mnie wpojony od dziecka katolicyzm.

Następnego ranka zjawia się w ogródku mojej gospodyni jeden z wczorajszych znajomych: zjawia się w ochlapanych farbą spodniach i flanelowej koszuli w kratę. A mówi się, że szata nie zdoła człowieka. Ten pan mieszka w sąsiednim domu, jest listonoszem, a oprócz tego kaznodzieją i duchownym, przewodzącym tutejszej gminie.

Przychodzi z kosiarką, żeby przystrzyć sąsiadce trawnik i zapytać, czy nie potrzeba jej czegoś z miasta, bo żona właśnie jedzie po zakupy. Elegancka dama z wczorajszego przyjęcia macha do mnie ręką z samochodu i woła w moim kierunku:

– Liczymy na ciebie!

Listonosz podkreśla raz jeszcze, że on sam wierzy głęboko w to wszystko, o czym wczoraj mówiliśmy i prosi, żebym przemyślała swoją decyzję. Ich dziecięca ufność mnie wzrusza. Widzę, że pomagają sobie wzajemnie, że to nie są czcze gesty. Virginia nie może już dźwigać zakupów ani strzyć trawnika, ale uczy francuskiego kilkoro dzieci z sąsiedztwa. Żona listonosza robi bezpłatny manikiur mormońskim staruszkom w ich domach.

Ta religia w zastosowaniu praktycznym wydaje mi się dużo bardziej chrześcijańska, niż nasz tradycyjny katolicyzm, oparty bardziej na jałmużnie, niż na wzajemnej pomocy.

Praktyczny mormonizm wydaje mi się teraz niezmiernie pociągający i gotowa jestem zanurzyć się w beczce święconej wody, chociaż podświadomie kombinuję, czy nie udałoby mi się zaliczyć chrztu przez przepłynięcie kilka razy basenu?

Bliską nawrócenia, pokorną i uległą, Virginia znowu pakuje do samochodu i wiezie na Temple Square, do centrum mormońskiego. Króluje tu ogromna i niezbyt piękna architektonicznie świątynia, której strzeliste wieżyczki są niewspółmiernie niskie w stosunku do kilkupiętrowego gmachu. Staje mi w oczach warszawski Pałac Kultury. W mózgu rozlega się pierwszy dzwonek rozsądku.

Do świątyni, niestety, nie mam wstępu, musiałabym mieć zezwolenie biskupa czy innego wysokiego duchownego. Virginia tłumaczy mi to zawile, ale przestaję słuchać, bo już wchodzimy do nakrytego kopułą okrągłego gmachu. To Visitors' Centre.⁴

W hallu nietypowe, niepozorne drzwi do windy. Dziwi mnie, że Virginia, naciskając guzik, każe mi tam wejść samej. Pomieszczenie istotnie wielkością przypomina towarową windę, z dwóch stron drzwi, na dwóch przeciwnych ścianach ogromne lustro. W towarowej windzie? Stoję tak przez chwilę, zaskoczona, nie czując, żeby winda ruszyła. Naraz rozlega się płynący z nikąd (z nieba?) głos:

– Spójrz w lustro. Przypatrz się sobie. Kim jesteś? Wiesz, jak wyglądasz, jakie masz oczy, twarz, figurę. Czy tylko tę zewnętrzną powłokę uważasz za swoje ja?

Chcąc nie chcąc, przyglądam się sobie: wcale nieźle, jak na kobietę koło pięćdziesiątki, sukienka dobrze leży, poprawiam uczesanie, obracam się profilem i ...

Światło gaśnie. Stoję w półobrocie, speszona, nieco ogłupiała. W ciemnościach głos wydaje się dochodzić istotnie z pozaziemskich wyżyn:

– A teraz przypatrz się sobie od wewnątrz. Jaka jesteś? Czy tam także wygląda „wcale nieźle”? Czy nie jesteś próżna, zadufana w sobie, egoistyczna? Co robisz dla innych? Dla bliźnich? Co zrobiłaś, żeby dostać się do Królestwa? Czy myślisz o tym, co wycierpiał dla ciebie Chrystus?

Teraz dociera do mnie cała moja nicość. Wstrząśnięta, robię krótki rachunek sumienia. Tak, byłam ochrzczona, chodziłam na mszę, brałam ślub w kościele – ale co poza tym? Moja postawa jest całkowicie świecka, o Chrystusie pomyślałam tutaj po raz pierwszy od lat, a o bliźnich? No, za bliźnich uważam przede wszystkim moją rodzinę i najbliższych przyjaciół.

⁴ Centrum dla zwiedzających

⁵ Pięknie, czyż nie?

⁶ O tak, wspaniale!

Kiedy już jestem bliska zrozumienia głębokich prawd chrześcijańskich, światło zapala się ponownie. Ale w lustrze nie odbija się już moja szczupła (nieźle, jak na kobietę koło pięćdziesiątki) sylwetka. W lustrze stoi Chrystus, ubrany w białą szatę przepasaną sznurem, w sandałach na bosych stopach, z przepaską na rozpuszczonych włosach. Jego piękna twarz okolona brodą patrzy na mnie z miłością.

O Boże, gdyby nie był tak bardzo realistyczny, tak bardzo podobny do aktorów grających rolę Jezusa w „Quo vadis”, w „Ben Hurze” i w innych filmach o początkach chrześcijaństwa! Gdyby nadal otaczała mnie ciemność, pozwalająca dłużej zastanowić się nad kruchością ziemskiego bytu, nad Bogiem i Jego wcieleniem! Ale ten aktor, przebrany za Jezusa, to realistyczne przebranie – nie. Chce mi się śmiać i płakać jednocześnie. Dziedzictwo kultury śródziemnomorskiej objawia mi całą głębię mojego sceptycyzmu.

Drugie drzwi otwierają się bezszelestnie i wychodzę na salę, gdzie czeka już na mnie podniecona Virginia, szepcząc:

– Beautiful, isn't it?⁵

– O, yes, just wonderful.⁶

Cóż mam powiedzieć tej ufnej, pełnej wiary kobiecie?

Virginia przyśpiesza kroku. Najchętniej pożegnałabym już ten wspaniały gmach, ale to niemożliwe, mamy przecież jeszcze tyle do zobaczenia.

W sąsiedniej salce dwa telewizory, na których dwie nie znające się osobiście rodziny toczą religijną dyskusję. Pomiędzy telewizorami, zupełnie nie wiadomo dlaczego, sztuczne drzewko, na którym siedzi sztuczny chłopczyk, macha sztucznymi nogami i, otwierając sztuczną buzię, sztucznym głosikiem cytuje mądrości o radosnym rodzinnym życiu Mormonów.

– Isn't he sweet? Czyż nie słodki? – zachwyca się moja przewodniczka. Patrzę na jej pomarszczoną twarz, rozjaśnioną szczęśliwym uśmiechem. Nie do wiary, jej naprawdę to się podoba.

W kolejnej sali film, objaśniający strukturę kościoła Świętych Dni Ostatnich: apostołowie, patriarchowie, biskupi, gminy (wards) i tak dalej. Zanim zdążyłam się w tym jakoś połapać, już jestem w innej sali, przed ekranem, w którym kolorowy film ukazuje historię odnalezienia Doliny Obiecanej.

– To widziałyśmy wczoraj w teatrze – protestuję słabo, bo Virginia zapomina o czasie i gotowa oglądać całą baśń od początku. Jak dziecko.

– Ach, prawda. – I już moja staruszka zrywa się i pędzi o piętro wyżej, gdzie w ogromnej sali kinowej leci na okrągło film o szczęściu wiecznym Mormonów.

– Popatrz, ten aktor to mój znajomy, gra ojca, zaraz umrze – emocjonuje się przejęta Virginia. Czy przejmuje się tak filmem, znajomym aktorem, czy swoją rolą misjonarki? Siadam obok niej, zrezygnowana.

Istotnie, znajomy aktor umiera zaraz na początku, otoczony – czy mnie oczy nie mylą? – uśmiechniętą rodziną. Na pogrzebie też nikt ze stojących nad grobem nie płacze, nie wyraża żalu. Śmierć przecież jest tylko przejściem do lepszego życia, do wieczności, w której za chwilę wszyscy się znajdziemy. Żona jest przekonana, że mąż, poślubiony „for life and eternity” będzie na nią czekał za grobem. I rzeczywiście, wkrótce widzimy, jak tatuś w białej szacie ducha unosi się w błękitnym przestworzu, a obok niego szybko pojawia się uśmiechnięta małżonka, która najwidoczniej także porzuciła ziemski padół. Ponie-

waż znajdujemy się w wieczności, w krótkich odstępach naszego czasu pojawiają się na ekranie dzieci i wkrótce cała rodzina w postaci białych duchów unosi się radośnie w zaświatach.

O, błogosławiona prostoto umysłu, błogosławieni ubodzy duchem! Jaka szkoda, że pochodzę z kraju, gdzie wiarę traktuje się tak serio, z czcią i nabożeństwem, gdzie wdowy płaczą na pogrzebach, a Chrystusa oglądamy zazwyczaj w koronie cierniowej, z przebitymi dłońmi, z ramionami rozciągniętymi na krzyżu.

Wychodząc z sali kinowej, wiem już, że nie zostanę Mormonką.

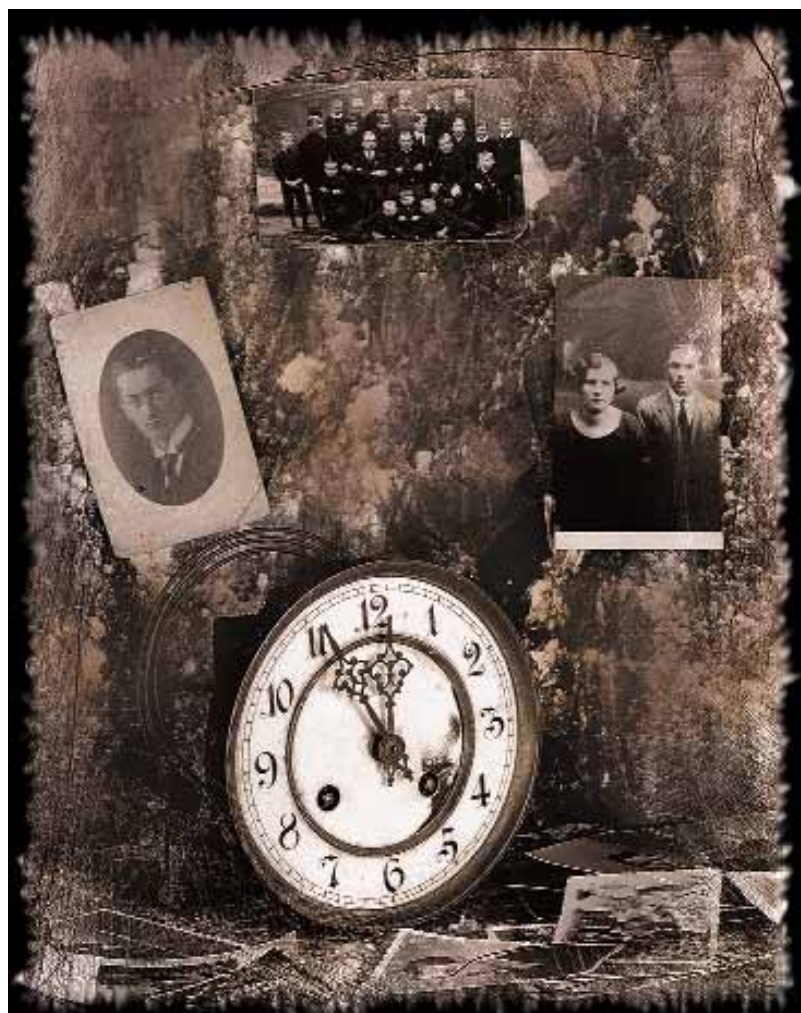
Po miękkiej wykładzinie schodzimy dwa piętra niżej, łagodną, pozbawioną schodów spiralą. U jej szczytu na bardzo niebieskim dywanie stoi ogromna, biała statua Chrystusa.

– Jedyna tutaj rzeźba, której autorem nie jest Mormon – mówi z lekkim żalem Virginia.

– To widać – myślę, może niesprawiedliwie, ale moje siły psychiczne są na wyczerpaniu.

A tak już byłam bliska apostazji!■

fot. Piotr Halter – „zegar”



GRUPA 01

KIEDY UMAWIAŁEM SIĘ TELEFONICZNIE z Grupą 01 na wywiad, prosiłem o spotkanie w ustronnym miejscu, podkreślając, iż chciałbym naszą rozmowę nagrać na dyktafon. Tymczasem kazano mi przyjść o wpół do siódmej na plac Biegańskiego, w samym centrum miasta. Gdy już doszło do naszego spotkania, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć o panującym się wokół ulicznym hałasie, uspokojono mnie, iż wywiad nie będzie przeprowadzony w takich warunkach, a mój przewodnik zaproponował spacer. Szliśmy w zasadzie bez słowa przez Trzecią Aleję, a gdy skręciliśmy w jedną z bram, znaleźliśmy się pod terkoczącym domofonem. Była szara, zimowa środa i niskie ciśnienie, co nie sprzyjało żadnym rozmowom.

W jednopokojowym mieszkaniu na I piętrze, czekającym jeszcze na ostatnie prace wykończeniowe, zebrali się wszyscy członkowie Grupy 01. W rytm sączącej się z radia muzyki krzatali się pośród niedoczytanych książek i wyschniętych plam po olejnych farbach. Kiedy zatrasnęły się drzwi wejściowe, wszyscy spojrzeli w moim kierunku. Mimo, iż byłem przygotowany do tego wywiadu poczułem się niepewnie.

– Kiedy powstała grupa 01?

Agnieszka Bugara (studentka wychowania plastycznego) – Tego nie da się dokładnie ustalić, bo dokonało się to w naszych umysłach bardzo indywidualnie i w różnym czasie.

Tomasz „Foka” Szewczyk (student filologii polskiej) – Za formalną datę można przyjąć dzień oderwania się od literackiego klubu Meneris, związanego z OPK Gaude Mater i prowadzonego przez Wiołę Grzegorzewską. Daty tej dokładnie nikt z nas nie pamięta, mimo iż było to zaledwie dwa, trzy miesiące temu. Prawdę mówiąc większość z nas znała się już wcześniej, przed Menerisem. Chadzaliśmy w te same miejsca, pisywaliśmy wspólnie wiersze, czując tym samym przedsmak późniejszych warsztatów, rozmawialiśmy o malarstwie. Kiedy usłyszeliśmy, że w Gaude Mater powstał klub literacki, uznaliśmy go za świetny sposób dalszego rozwijania naszej wiedzy i umiejętności. Jednak wstępowaliśmy

do Menerisu pojedynczo i ostrożnie, z pewnym, jak się później okazało niepotrzebnym, dystansem.

– Jednak już wtedy myśleliśmy o tworze istniejącym na podobnych, lecz wyłącznie naszych zasadach. – (**Mateusz Szkop** – studiuje kulturoznawstwo w Krakowie) – Potrzebowaliśmy jednak aż półtora roku aby wcielić go w życie. Jak widać, ciężko jest jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie „kiedy powstał?”

– Dlaczego oderwaliście się od Menerisu?

M. S. – To nie do końca tak, że od niego uciekliśmy. Przez półtora roku spotykaliśmy się wspólnie raz w tygodniu, dyskutując, czytając i pisząc, organizowaliśmy mniejsze i większe przedsięwzięcia. Wiele zawdzięczamy temu klubowi; wiele się w nim nauczyliśmy i dowiedzieliśmy o sobie. Ale wszelkie instytucje, aby nie zatraciły sensu dalszego istnienia, muszą być elastyczne, muszą się cały czas rozwijać. A w Menerisie doszliśmy do pewnego stopnia, poziomu, i nagle boom – świadomość, że nic więcej w tych warunkach już nie osiągniemy. Koniec jazdy. Pętla. Trzeba wysiąść, żeby przez zapomnienie nie wrócić tym samym tramwajem. Wysiąść albo rzucić przed pojazd kolejne szyny – a to jak wiadomo nie jest wcale łatwe – wymaga siły i świeżości, jakiej nam, wtedy brakowało.

Kuba Rudziński (uczeń LO im. Norwida) – Tamtego dnia Mateusz obdzwonił wszystkich i zaproponował nadzwyczajne spotkanie. Wszyscy czuliśmy, że aby dalej istnieć, trzeba coś zmienić, ale widocznie nie wszystkim zależało na przyszłości Meneris – przyszła tylko połowa członków. W wyniku tego oraz poprzez zmiany jakich dokonaliśmy, a zmiany te były diametralne, pozostała połowa uznała nas za szczury uciekające z tonącego okrętu, a drugim efektem tamtego spotkania była właśnie Grupa 01.

– Jak teraz układają się wasze stosunki?

Kasia Swińło (studentka wychowania plastycznego) – Znacznie lepiej niż wtedy – zaraz po fakcie, ale i tak najlepszy lekarz – czas, wszystkich ran nie wygoi. Nadal związani jesteśmy ze sobą indywidualnie, wielu z nas zostawiło tam przyjaciół i odwrotnie. Mamy w planach kilka wspólnych wieczorków poetyckich, jak na przykład ten 24 stycznia w kawiarni Dekadencja. Powstanie 01 wyszło na dobre obydwu grupom – wprowadziło świeżość, nowych członków i motywację do dalszych działań. Nic tak przecież nie dopinguje do pracy, do organizowania wieczor-

ków itp, jak funkcjonowanie w tym samym mieście „konkurencyjnej” – że tak powiem, młodej grupy artystycznej.

– Skąd nazwa Grupa 01?

A. B. – Nasze pierwsze spotkanie, odbyło się tego samego wieczoru, kiedy dyskutowaliśmy o przyszłości Menerisu. Postanowiliśmy zmienić wiele rzeczy, wiele zasad, które wydawały się nam ograniczeniami przede wszystkim dla jednostki funkcjonującej w tamtym klubie. Nasza nowa nazwa jest jedynie formalnością. Nie jesteśmy uzależnieni od wyrazu Grupa – wręcz przeciwnie. Przede wszystkim jesteśmy przyjaciółmi i znajomymi, indywidualnymi formami, które spostrzegły, że również w sztuce, którą tworzą, istnieje pewna, wspólna dla ogółu zgodność. Formalna grupa istnieje dwa, trzy miesiące, ale my w większości znamy się od trzech, czterech lat, więc łatwo domyślić się, że prędzej czy później musieliśmy pokusić się na krok ubiurokratyzacji. Mamy wyznaczony termin spotkań: czwartek godzina 19:00. Do tej pory miejscem ich była kawiarnia Puerto Rico, obecnie mieszkanie Foki, gdzie – miejmy nadzieję – powstanie coś na wzór przedwojennych salonów artystycznych. Widujemy się praktycznie codziennie, przypadkowo na mieście lub w pubie, bez żadnych wcześniejszych uzgadnień. Po prostu jesteśmy na siebie skazani, a fatum to staramy się w jakiś sposób wykorzystać.

– Co do samej nazwy, wiele na jej temat odbyło się burzliwych dyskusji (**Iza Waluda** – uczennica LO im. Kopernika) – wynikających jednak nie z faktu przyłączenia się do szczegółu, w tym przypadku nazwy, lecz z czystej pasji rozmawiania i polemizowania.

T. Sz. – 01 jest niewątpliwie najbardziej współczesnym, uniwersalnym kodem przekazu i odbioru, jaki stworzono przez i dla ludzi. Oznaczać może wszystko: waginę i fallusa, dobro i zło, czarne i białe, przeszłość i przyszłość, dwa bieguny a można również odczytywać go dosłownie jako liczby 0 i 1.

A. B. – 01 jest kodem wyszukiwania paradoksów, kreślenia kontrastów między którymi ukryte jest to czego szukamy. Dopiero kiedy uświadomimy sobie dwa ekstrema istniejące dla każdego zjawiska, przypadku i rzeczy, możemy dokonać dalszej analizy i obserwacji, możemy błądzić i pisać.

– Porozmawiajmy o terażniejszości...

M. S. – A czy terażniejszość jako przedział czasowy w ogóle istnieje? Czy terażniejszość nie jest

jedynie znaczeniem przeszłości i sensem przyszłości? To oczywiście moje prywatne zdanie, nie sformułowane w żadnym manifestie Grupy 01.

A. B. – Z którym pozostali wcale nie muszą się solidaryzować.

– Czy to aby nie filozofia Hegla?

M. S. – Tak! Przetworzona przez usta Kojeva, a następnie przez Laszlo Marthona – znanego węgierskiego tłumacza, członka *Expressu Literackiego*, z którym miałem okazję godzinami rozmawiać na ten i wiele innych tematów, podczas mojej wizyty w Budapeszcie. Nie będę ukrywał, że człowiek ten zrobił na mnie ogromne wrażenie...



– Czyli słuch o Grupie 01 dotarł również na ziemię węgierską?

M. S. (z uśmiechem) – Można tak powiedzieć. Dużo Laszlowi o nas opowiadałem. Mam nadzieję, że skorzysta z zaproszenia i kiedyś nas odwiedzi. To bardzo ważne aby mieć przyjaciół, którzy podobnie jak ty pasjonują się sztuką i kochają coś robić...

– ...i na których pomoc możesz zawsze liczyć.

– **K. R.** – Tu w Częstochowie jest wielu młodych artystów, z którymi staramy się współpracować i tworzyć coś. Na przykład: ostatnio podczas wernisażu zdjęć Agnieszki pomocna okazała się formacja bębniarska Gri-gri, której bardzo chcieliśmy podziękować. Z kolei 26 stycznia w kawiarni

Puerto Rico wernisaż rzeźb naszego przyjaciela Marka Krakowiaka, wspomogą muzycznie częstochowscy dj. To naprawdę ważne, żeby pomagać sobie wzajemnie z czystego zamiłowania do tworzenia, a nie po to, by zdobyć rozgłos i pokazać się przeróżnym instytucjom i krytykom.

K. S. – Częstochowa widziana jest w innych miastach jako prowincja kulturalna. Nie wliczając OPK Gaude Mater i turniejów im. H. Poświatowskiej, niewiele dzieje się u nas przedsięwzięć, o których słyszeliby artyści z innych miast Polski. Uświadomiliśmy to sobie boleśnie podczas wypadów na Śląsk, rozmawiając z twórcami działań „Na Dziko” lub z Jackiem Podsiadło, a przecież sympatycznie byłoby usłyszeć kilka miłych słów pod adresem Częstochowy.

– Wspomnieliście o manifeście. Czy ogłosiliście już swój własny?

I. W. – Oczywiście! Ogłosiliśmy go indywidualnie swoją osobą, kiedy się narodziliśmy – swoim krzykiem, którego nikt nie usłyszy. Nie musimy go rozpisywać w punktach, drukować w czasopiśmie i ogłaszać światu, bo świat i tak jest na nas głuchy (zresztą jak na wszystko). Próbowaliśmy go kiedyś sformułować, tak formalnie jak uczynili to np. Futuryści, ale doszliśmy do wniosku, że forma nie jest dla nas priorytetem, a wspólnej idei jeszcze nie znaleźliśmy. Zgadzamy się za to całkowicie co do treści... Myślę, że kiedyś do niego jeszcze dojrzejemy.

– Najbliższe plany?

T. Sz. – Będziemy kontynuować działania Grupy 01 w takiej formie jak czyniliśmy to dotychczas. Oprócz naszych wewnętrznych spotkań, podczas których wymieniamy się książkami i spostrzeżeniami, czytamy poezję współczesną, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o funkcjonowaniu wrażliwości poetyckiej w dzisiejszych czasach, nieustannie filtrować te przemyślenia przez nasze własne mniemania i posunąć się dalej. Wszystko już było – ale tego wszystkiego może być jeszcze więcej. Staramy się nawzajem korygować swoje niedociągnięcia warsztatowe, czytając również swoją poezję – rozmowy o treści są chcąc nie chcąc zepchnięte w tło, wystarczająco dobrze funkcjonuje ona w naszej codziennej rozmowie, nie mamy potrzeby powtarzać się wobec siebie.

A. B. – Staramy się organizować otwarte spotkania artystyczne. Oprócz wyżej wspomnianych imprez, 1 lutego zapraszamy na Pojedynkę Literacki między Grupą 01 a częstochowskimi poetami, którzy posiadają już na swoim koncie książki poe-

tyckie. Wraz z Tomaszem Kmiecikiem i artystami Sceny Błazen, przygotowujemy się do małego performansu na deskach naszego częstochowskiego teatru. W dalszych planach figurują „Śniadania poetyckie” oraz multimedialny wieczór poezji, który odbędzie się w bliżej jeszcze nieokreślonym terminie w galerii Tomasza Sętowskiego.

Rozmowę przeprowadził Antoni Pióro

Tomasz Szewczyk

Porano

Tragiczny monolog budzika
– błąd ciszy –
daję mu w pysk Resztki
wyskrobanej nocy stygną
przez okno na biurku a ja
dokańczam ten pasjans
gdzie indziej Słyszę i
– proszę jeszcze nie
wchodzić I dobrze Biały
sufit wstając razem ze
mną odbija wszystko co
w nim widzę Wystawiam język
to nic To teraz barwione
sztucznie

Agnieszka Bugara

Wielkie picie

Artysta się
Napił
Pił na
Się
Popił
Po podłodze
Się
Artysta
Uczył
Przestrzeni
Się jeszcze
Napije
Będzie gonił
Przestrzeń
Się
Znajdzie
Jak się znajdzie
Też napije
Się
Artysta

Iza Waluda

Poetom stryczki śnią się tylko jesienią
fragmenty poematu

(...) kim był poeta?
kim więc byłeś siedząc
na zielonej od chlorofilu trawie
zapewne w twoim głosie
usłyszę zdziwienie
a odpowiedź będzie tak prosta
jak proste były jej plecy
z wywieszoną zmęczoną tabliczką:
nie zarazę się skoliozą (...)

(...) kim był dla was wrzesień?
kim lub czym był wrzesień
gdy w upalne popołudnie
staliście na spróchniałym moście
wrzesień był tylko awarią
a do tego cholernie trafną
graliście w statki gdy ja w tym czasie
odliczałam sekundy by spakować
swój pierwszy tornister
i powiesić się nad biurkiem
samego dyrektora
maczałam palce we wszystkim
co choćby przypominało kolor czerwony
tej jesieni zbierałam do koszyka
wszystkie dysfunkcje
jakie może mieć człowiek (...)

(...) kim był dla was sen?
przechodniem którego droga
była oznaczona znakami
koloru pastelowego różu
punktem zaczepienia były oczy
i tylko jeden mózg
z powodów osobiście niewytłumaczalnych
droga publiczności
nie jestem w stanie wytłumaczyć
swojej nieobecności
chcę mi się spać (...)

Katarzyna Świtlo

* * *

wykolejony potencjał
zjeżdżał choć
ciało formą pulsuje
zatrzymany gwałtownie
– wynaturzenie
młode ramiona stopy biodra
jak sztandar zburzonego miasta
a można było
wyschnąć wyblaknąć
łagodnie spopieleć

Mateusz Szkop

to była nasza ostatnia wieczerza
on i nas dwanaścioro w wietnamskiej restauracji
on wyjaśniał jak trudno znaleźć zrozumienie
dla współczesnej poezji wśród organizatorów
którzy syjonizmem określali każdy nieład
a my słuchaliśmy docelowych słów
szukając wzrokiem Judasza
jakby zamiast ręki nosił sztuczną protezę

mogliśmy za pomocą potakiwania głowy
uciekać w koszmar wielkich przestrzeni
niewyplewionych z konwenansów
nie do końca wierząc w pozapolityczny byt
mogliśmy sami być chwastami
przez sekundę zlizywać sztuczność słońca
zarekwirowanego przez ramy kiczowatego
obrazu z pejzażem

słuchaliśmy tak łamiąc się czerstwą myślą
i czekaliśmy kiedy przyjdą go zabrać
cieszyliśmy się każdym wypowiedzianym słowem
nie dopuszczając ponurej myśli że kiedyś
to właśnie w wigilię strzelimy sobie w łeb
czekaliśmy długo ale nikt się po niego nie zjawił
przyszedł tylko szef; oznajmił późną godzinę
i wyrzucił nas z restauracji na zewnątrz
gdzie na szafot historii wschodził jedynie
nierozpisany dzień



Bartosz Małczyński jest studentem IV roku Filologii Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, studentem – co warto od razu zaznaczyć – wyróżniającym się zarówno ze względu na wyniki w nauce, jak i na skalę i jakość zainteresowań.

Urodził się 22 października 1978 roku w Częstochowie. Ukończył tu szkołę podstawową, a następnie technikum elektroniczne przy Technicznych Zakładach Naukowych im. gen. W. Sikorskiego.

Od kwietnia 2001 roku współpracuje z opolskim pismem kulturalno-literackim *Przez Czerń*. W grudniu tegoż roku zdobył trzecią nagrodę w II Studenckim Konkursie Literackim Graf organizowanym przez łódzką WSHE.

Jego wiersze cechuje rzadko spotykane wśród młodego pokolenia skupienie i czystość wyrazu. „w stan skupienia wytwarza się w relacji: ja – świat (natura, inni, drugi człowiek). Ton relacji poetyckiej jest spokojny, nic go nie zakłóca, nawet fakt, iż w „polu widzenia” jawią się hałasy i odpady cywilizacji. Do ustanowienia tej relacji prowadzi uważna obserwacja naszego otoczenia, intensywne przeżywanie wybranej chwili, bliski, intymny kontakt z przyrodą. Autor zna wagę słowa, posługuje się nim w sposób rozważny, przemyślany, refleksyjny. To, co ma do powiedzenia zawiera w małej formie, ale wystarczająco pojemnej, by wyrazić siebie, swoją postawę wobec świata i zadań poetyckich.

Wśród prezentowanych tekstów jest też fragment prozy pt. *Odpadki*, prozy poetyckiej, która przybiera charakter monologu opatrzonego mottem z Różewicza. Na Różewiczowskim „śmietniku” zasadzała się koncepcja współczesnej cywilizacji rozumianej jako recycling. U Bartosza Małczyńskiego wyrazista wizja świata zbudowanego na „odpadkach” dopiero się tworzy. Mam wrażenie, iż bardziej wiarygodne aniżeli stwierdzenie zamykające fragment: (...) pan artysta świat buduje nie z atomów lecz z odpadków są zdania wyrażające brak pewności: (...) sam nie wiem/ Trudno określić co drgnęło pod stopą być może (...). Być może to stan niepewności (brak gotowych odpowiedzi) w pełni wyraża stosunek współczesnego pokolenia wobec świata, który tak trudno poddaje się jakiegokolwiek definicji.

Dr hab. Elżbieta Hurnikowa

Noc grudniowa. Dwa tygodnie do świąt. Przywołuję w myślach słowa: *Nawet w wielkim mieście zapada niekiedy cisza.*

Przejeżdżają samochody.

*O mech zaczepiam
chmurę:
pasterz, z piórem przy uchu –
całe stada gnam
na Północ*

Nareszcie pogodnie,
wszystko faluje i świeci.
Siedzimy w lesie, na trawie.
Rozmawiamy.

*Pole przed nami to wielka ryba,
której łuski połyskują w słońcu.*

*

Jechaliśmy
w pyle, w słońcu;
droga polna prowadziła
do lasu.

Pogodny dzień,
może nieco zbyt upalnie.
Pogodne twarze,
pogodne słowa.

Słońce odbijało się w drodze,
ale nie tak jak w lustrze –
raczej jak w białej kartce;
raziło, trochę nawet męczyło.

Tylko od czasu do czasu
na tej drodze pojawiały się
ślady „cywilizacji”:
szmaty, szkło, gruz.

Pola, niedaleko mostu:
spotkanie wędrującego
z tutejszymi.
Jakaś obojętność.
Spuszczone, odwrócone głowy.

Za dużo dźwięków grzejnik strzela auta
piszczą bucza
zegar tyka

Jak przełamać taką ciszę?

fot. Marek Niedostatkiewicz



ODPADKI

„śmietniki są pełne życia
niespodzianek”

Różewicz

Nie mam głośnych trąb nie mam lutni ani harfy bębna piszczałki zaledwie zardzewiałą strunę owiniętą wokół języka strunę która dźwięczy dysharmonijnie współ z zębami najczęściej więc wołam do samego siebie nikt nie podnosi czoła nie ociera rdzy z serca

Od pierwszej chwili niezwykle barwna jakby spleciona z kolorowych nici miejscami mocno ściągniętych gdzieniegdzie luźnych tajemnicza choć nie tak zupełnie obca w niczym nie przypominająca pieśni żalosnej już raczej śpiew skowronka czy słowika raczej ręce staruszki o kim mówię o czym strona prawdziwa stworzenia według wzoru Chrystusowego sam nie wiem

Trudno określić co drgnęło pod stopą być może przyłapany szczur lub wisielcza lina czy wąż mogła to być również czyjaś dłoń ale to mało prawdopodobne

Bąbel czy ty musisz wszystko obwąchiwać
Zboczyłbym z drogi chodzi o zwykły spacer to mogłoby mieć znaczenie biegłbym po cieniu drzewa gdyby nie ta przykra wesoła nutka niepokojąca kto by to wytrzymał dziwią się wszyscy że jak pies nie szczekam

To wieża jasnogórska sprzed kilkuset lat widziana w słońcu we śnie to kondukt ciągnący się od serca do piersi matki to Chrystus bezradnie grzebiący stopą w piachu jakiś obrzydliwy szary dzień to prawdziwa nagość która przeraża pamiętasz pan artysta świat buduje nie z atomów lecz z odpadków

PROKREATOR

Wioletta Grzegorzewska

Tamtej zimy ojciec przyniósł do domu jasztrębia z pokrwawionymi szponami. Ptak próbował się wyrwać z więzów, ale ojciec powoli i stanowczo zaczynał go dusić. Ptaszysko szamało się, dygotało, wybałuszało oczy, otwierało szeroko dziób, wywalało języczek aż w końcu padało uduszone na linoleum. Potem zaczynał się obrzęd preparacji, patroszenie przestrzeni, wielka deformacja. Ojciec niczym chirurg mył dokładnie ręce w cynowej misce. Zdejmował czeratę ze stołu i rozkładał poźółką Trybunę. Następnie ostrożnie nacinał powłokę brzuszna, uważając aby nie pobrudzić krwią lśniącego puchu. Około dwóch godzin pozbywał się wnętrzności, które wrzucał do wiadra stojącego pod stołem. Tylko oczy – zakrwawione szmaragdy oddawał kotom na pożarcie. Kiedy ptak był wyczyszczony z wszelkich tkanek: bladoróżowego mięsa, kości i żółtego tłuszczu, ojciec wywlekał go na drugą stronę i nacierał skórę białym ałunem, który trzymał w słoiku po ogórkach. Punktem kulminacyjnym preparacji było przygotowanie druczianej konstrukcji, która miała zastąpić szkielet kostny ptaka. Czynność ta wymagała od ojca sporej koncentracji, więc musiał chwilę odpocząć. Robił mocną herbatę z pięcioma łyżeczkami cukru i badawczo spoglądał na ptasie ściwo suszące się przy żelaznym piecyku. Później przycinał obcęgiem miękki, miedziany drut i umiejętnie łączył złotawe pręty. Misternie spleciony stelaż podobał mi się bardziej niż pachnące skrzepłą krwią kości. Po nawleczeniu tego co pozostało z jasztrębia na drucziany szkielet, ojciec wypełniał go szarą watoliną ze starej kufajki. W miejsca mniej dostępne wciskał pęsetą watę. Wreszcie zaszywał wypchanego ptaka cienkimi niciami. Na koniec podklejał nastroszone pióra butaprenem, do oczodołów wkładał odpowiednio pomalowane szklane kulki i przymocowywał jasztrębia do fikuśnego konara brzozy. Wieczorem wielki prokreator zasypiał zmęczony na kozetce, a ptasie straszycło z nienaturalnie rozpostartymi skrzydłami nieporadnie wzbijało się nad nim do lotu.

Wkrótce preparacja zwierząt stała się wielką pasją ojca. Ludzie przynosili mu kuny, bażanty, kuropatwy, cietrzewie, zające, a nawet zdechłe koty. Stopniowo przyzwyczaiłam się do agonii zwierząt w naszym domu. W oparach kleju pisałam opowiadania o zniekształconych ludziach, którzy nie mieli nic do roboty, mogli tylko umie-

rać. W moim gotyckim świecie padali jak muchy bez motywacji, bez usprawiedliwienia. Czasami z zabazgranych kartek robiłam latawce. Oddawałam przestrzeni poprzecinane wersami, wypatroszone długopisem papierowe ptaki...■

POŻEGNANIE

Piotr Kudlik

Po raz ostatni kupuje jej kwiaty. Przynajmniej taki ma zamiar. Wie, że musi się pożegnać. Chce zostawić po sobie niezatarte wrażenie. Taki swoisty urok, który długo nie pozwoli jej spać po nocach. Ma wzbudzić poczucie winy, a myśli mają biec ku niemu, ku wspomnieniom, ku tym chwilom pozostawionym głęboko w pamięci.

Męska tępa perfidia kupuje przepiękny bukiet, który w normalnych warunkach skruszyłby nawet najtwardsze serce kobiety. Dziś ten bukiet wzbudzi żal za utraconymi chwilami. Popatrz kobieto, co straciłaś. Szczere oddanie całego siebie ulatuje gdzieś daleko. Już nie Kocham Ciebie. Nie chcę cię znać, ale ty... nigdy nie pozwolę ci zapomnieć.

Bukiet jest już gotów. Sto złotych za rozkosz zemsty, która zaczyna wydawać się absurdalna. Musi jednak się pożegnać. W myślach układa obrazy towarzyszące odnalezieniu kwiatów u drzwi. Zaskoczenie, radość. Lektura biletu – złość. Wzrok spoczywa na cudnej kompozycji – smutek. Zapach wiosny wypełnia cały pokój. Łzy. Dałby wiele, by zamienić się w ducha i będąc niewidocznym towarzyszyć jej w tych chwilach. Usłyszeć szept zrozpaczonej: „Kochanie, dlaczego cię tu nie ma?”

Ulica błyska tysiącami świateł. Rozkrzyczany tłum ucieka do swych domów. Wydaje się, że tylko on podąża w przeciwnym kierunku.

W domu ktoś na niego czeka. Dobrze, iż ten ktoś pojawił się teraz, kiedy był już na granicy.

Ale dlaczego nie może zapomnieć?

W domu czeka kobieta. W sercu dwie. Jedna kochana, druga znieawidzona, lecz też kochana. Dlaczego kwiaty dostanie ta znieawidzona?

Poczuł, że mięknie. Tak nie można przecież, ale mięknie. Przed oczyma pojawiają się sceny, które zapadły głęboko w duszę i serce. Chwile uniesienia, rozkosz, śmiech... smutek.

Spogląda na zegarek. Późno.

Wręcza bukiet dziewczynie samotnie siedzącej na ławce.

Ten wieczór nie jest dobrym czasem na pożegnanie.■

BRAT

Fragment powieści dla młodzieży

Lucyna Piątek

TOMEK, JAK TY MNIE WNERWIASZ – ZACZĘŁA spokojnie. – Nie rozumiesz, że nic by mnie nie obchodziło twoje życie, gdybyś miał normalną pracę i swój ką. Nie mam oczywiście tego na myśli – wskazała lichą stodołę. – Przydałaby ci się jakaś kawalerka, wynajem, coś w tym stylu. Wierz mi, dałabym ci wtedy spokój. Popatrz na siebie, co ty wyprawiasz? Co chcesz udowodnić? Jeszcze jak mi powiesz, że chodzisz po lunch na wysypisko, to chyba padnę ze śmiechu! Co ty robisz ze swoim życiem, człowieku!? Masz średnie, cudem zdobyte, ale masz. Stary mógłby ci załatwić jakąś robotę w stadninie, to nie Wersal, ale na początek może być!

– Dzięki – zaprzeczył ruchem ręki. – Nie chcę od niego żadnej łaski! Nie jestem niczym niewolnikiem!

– Jeszcze nie, ale możesz nim być prędzej niż myślisz. Czy ty tego nie kumasz? Jak będziesz dalej puszczał ten trefny towar... – Odgarnęła siano, gdzie jeszcze w nocy leżały magnetowidy. – Widzę, że już skaliliś...

– Jasne – uśmiechnął się cwaniacko. – Ty wyrocznie, wiesz wszystko najlepiej – rozłożył ręce jak kapłan.

– I tak ci nie ufam, opamiętaj się! Sam nie byłbyś w stanie tego zrobić. Daj sobie spokój z kumplami. Gdy coś nie wypali, pociągną cię za sobą na dno!

– Nie ma strachu, to gites majones ekipa!

– Co to za gadka? – Anecie opadły ręce. – Właściwie to chciałam z tobą pogadać o sytuacji w domu, a dokładniej o mamie.

Tomek pokiwał głową, przewrócił oczyma dając tym samym siostrze do zrozumienia, że niewiele go obchodzi sprawy rodzinne – ma dość swoich.

– Musiałbyś teraz ją zobaczyć – kontynuowała opuszczając wzrok. – O mało nie rwie sobie włosów z głowy, znowu coś z nią nie tak. Już od

kilku dni w lodówce stoi obiad dla ciebie, śmierdzi nieziemsko, ale ona nie pozwoli nic tknąć: „bo to dla Tomusia, kiedy wróci...”

– Dobra, przyjdę – westchnął po chwili. – Ale powiem jej coś takiego, żeby się nie martwiła. Będzie mnie miała z głowy.

– Jak możesz, przecież ona cierpi właśnie przez ciebie! Twierdzi, że to ja, stary i jeszcze ktoś bliżej nieokreślony namawiamy ciebie do ucieczek z domu, aby ją pognębić i nazwać złą matką! Rozumiesz matole?! Krzywdzisz nas wszystkich! Czy rodzina już nic dla ciebie nie znaczy?!

– Cholera, jasne, że znaczy! Nie w tym rzecz. Chcę żyć na własny rachunek. Jestem już dorosły, SAMODZIELNY i nikogo nie powinno interesować co robię i gdzie jestem!

– Jasne, ale interesuje twoją matkę, zrozum pierdoło, właśnie ją! Nadal jesteś jej synem, dzieckiem! Pełnoletnim, czy nie!

– Dobra, już nie krzycz – bezradnie przecesał palcami włosy. – Powiedziałem już, że dzisiaj przyjdę do chaty, coś wymyślę. Strzełę jakiś banał, może to ją uspokoi. Dobra, spylaj. Poradzę sobie, załatwię coś jeszcze i przyjdę...

Aneta siedziała w domu w swoim dużym, miękkim fotelu. Mama myła okno w sypialni. Robiła to już trzeci raz w tym miesiącu. W domu wszystko lśniło, czego wcześniej nie można było uzyskać normalnym, codziennym sprzątniem. Ktoś zapukał cicho do drzwi. Aneta drgnęła. Drzwi otworzyły się bez oczekiwania aż któryś z domowników je otworzy. W przedpokoju stał Tomek, taksując nerwowo sytuację w domu.

– Haj, jest ktoś w chacie? – Zapytał cicho widząc siostrę.

– Mama jest na górze, już trzeci raz w tym miesiącu myje to cholerne okno. – Bardzo pragnęła aby brat choć w części pojał, co chciała przez to powiedzieć. – A starego jeszcze nie ma.

...Tomek umyty i przebrany w czyste ciuchy, które znalazł, nie wiedząc czemu uszykowane w łazience, usiadł na kanapie w pokoju gościnnym i czekał. Obawiał się spotkania ze swoją matką. Nie miał pewności jak zareaguje na jego widok. Będzie krzyczała lub popadnie w odrętwienie. Bał się jej reakcji, nie rozumiał ich do końca...

– Cześć, mamo! – Tomek sprawnie wstał z kanapy z anielskim uśmiechem przyklejonym do twarzy. – Jak się czujesz, kochana?

– Tomuś! Dobrze, że już jesteś! Moje ty chłopiátko! – Zamknęła w ramionach mężczyznę przewyższającego ją o głowę. – Gdzieś ty się podziewał? Nic nie powiedziałeś, że wyjeżdżasz. – W jej głosie wyczuł troskę.



Lucyna Piątek
– studentka 5 roku studiów zaocznych filologii polskiej na WSP w Częstochowie. Mieszka w Tworogu (woj. śląskie), pracuje w Domu Pomocy Społecznej w Miedarach jako opiekunka niepełnosprawnych intelektualnie męczczyzn.

– Aaa, mam, za dużo opowiadania. – Mówił to, a Aneta przytakiwała mierzając go mściwym wzrokiem. Mogła sobie na to pozwolić, gdyż mama stała odwrócona do niej plecami. – Wiesz mam, ten Marek, no, mój kumpel z klasy, wiesz który? Załatwił mi robotę przy zbieraniu ogórasów. Cholera, zbieraliśmy je przez cały weekend, w upał i w deszcz. Ciężko było, ale oplaciło się.

– A co, syneczku, masz coś z tego chociaż?

– Jasne, mam, inaczej bym się w to nie bawił. Zarobiłem jakieś cztery stówki za trzy dni. To dużo, nie? – Odparł z triumfem.

Aneta nie mogąc znieść tego steku bzdurnych bajerów wyszła do kuchni. Dręczyła ją myśl, że mama nadal będzie tkwiła w błogiej nieświadomości.

– Tak, synku, jak na dzisiejsze czasy to bardzo dużo. – Matka promieniała.

– A to dla ciebie. Ja jeszcze nie mam takich potrzeb. – Wręczył jej dwieście złotych. – Kup sobie coś fajnego.

– O, mój kochany syneczku! – Rzuciła mu się na szyję i obdarzyła kilkoma siarczystymi buziakami. – Dziękuję ci bardzo, mam właśnie upatrzoną sukienkę. Jednak będą jeszcze z ciebie ludzie. – Dodała z powagą.

Tomek skromnie opuścił głowę ciesząc się w duchu, że poszło lepiej niż się spodziewał.

– Ale mam, ja muszę znowu tam jechać.

– Gdzie? – Zdziwiła się.

– No, na te ogórki.

– Aha, a gdzie się zatrzymacie? Macie gdzie spać, co jeść?

– Jasne, chłopaki wzięli namioty i sprzęt. Mam robotę, a przy okazji extra wakacje!

– Świetnie, Tomuś, bardzo dobrze to obmyśliłeś! – Cieszyła się ślizgając po nim dobrotliwym spojrzeniem. – Kiedy chcecie znowu jechać?

– Musimy już dzisiaj wieczorem, najpierw do Marka, bo jutro z samego rana mamy pociąg. Wezmę jeszcze trochę maneli i niedługo polecę.

– Czemu tak szybko? Poczekaj jeszcze chwileczkę. Szybko wymodzę coś dobrego dla mojego dzielnego syna. – Poglaskała go czule po wysychającej czuprynie.

Aneta nie wytrzymała słuchając rozmowy z kuchni. Kiedy mama do niej weszła, minęły się w drzwiach bez słowa, po czym Aneta patrząc z obrzydzeniem na brata, na znak potępienia przystawiła palec do ust jakby chciała wywołać torsje. Tomek w lot zrozumiał gest... Zobaczyła go później na dole z ogromnym workiem żeglarskim na plecach otwierającego już drzwi wyjściowe.

– Cześć wam! – Krzyknął i wyszedł.

– Cześć, pa, kochanie... – Aneta usłyszała szept matki dochodzący z przedpokoju.

Nie zastanawiając się długo zbiegła ze schodów i wybiegła za nim. Przyspieszył kroku, widząc nie zamierzał wdawać się z siostrą w zbędne dyskusje. Ostatecznie dogoniła go.

– Zaczekaj, święty Tomasz, jak długo chcesz tak żyć?!

– Ciszej – syknął. – Zamknij się. – Rozejrzał się lekliwie. – Jeszcze matka usłyszy. Zrobiłem co chciałeś, nie mam ci nic do powiedzenia, idę!

– A kiedy zamierzasz wrócić?

– Kto to wie? Pewnie jak skończą się ogórki, ale to chyba nie twój interes – przewiercił siostrę wzrokiem. – Wypad na drzewo! – Ruszył sprężystym krokiem lewą stroną szosy. Aneta nie goniła go, nie mogła, nie chciała...

Wodził wzrokiem po popołudniowym, sinym niebie i po barwnych, przydomowych ogródkach, gdzie większość rodzin siedziała przy ostro pachnących grillach.

Już miał zejść w boczną uliczkę prowadzącą do lasu, kiedy w oddali dostrzegł ruchomą, niebieską plamę. Zaklął w duchu.

– Cholera, że też mam takie szczęście na staro... – Burzył się w myślach. – Gdyby mnie nie widział wszystko poszłoby gładko, ale chyba nic z tego – westchnął.

Ojciec zauważył go natychmiast.

– Tomek! Gdzie ty znowu leżysz?! – Ojciec próbował krzyknąć przez nerwowo zaciśniętą szczękę.

– Idę do kumpla – odpalił niedbale, a wściekłość wymieszana z lękiem błysnęła w jego oczach.

– W tej chwili wracaj do domu, musimy pogadać! – Ojciec warknął wychylając się przez okno niebieskiego poloneza.

– Ph, nie mam teraz czasu – Tomek prychnął i zerwał się do biegu przytrzymując ciężący worek. Biegł w kierunku lasu, który był na tyle gęsty, że wjechanie weń samochodem było niemożliwe.

Ojciec nie miał siły go gonić.

– Wracaj szczeniaku!!! Bo ci rozwalę ten głupi łeb!!! – ryknął, wcisnął gaz i z piskiem opon ruszył za nim. – Wracaj cholero! – Dopiero teraz zwrócił uwagę na skierowane zewsząd ciekawskie twarze sąsiadów.

Dojechał do linii lasu, po czym wałąc pięścią w kierownicę i przeklinając już nieco ciszej zawrócił do domu.

Tomek okrężną drogą wracał do swojej kryjówki-stodoły. ■



BŁĄD W SZTUCE

Wchodzi ortopeda do spożywczego
Coś na śniadanie kupić pożywnego
Hmm, ten salceson trochę żylasty
Mięso ma nalot i but trochę ciasny

Potem wraca na szpitalny oddział
Po przerwie wchodzi, w ustach zajady
Pacjent trochę jakby nieświeży
Trzeci dzionek uspiońy leży

Temu lewatywę! Temu golenie!
Temu pigułki! Temu rachunek!
Łapówkę przyjąć i poczęstunek
Rodzina denata składa zażalenie

Salowa mizdrzy się do lusterka
Pacjent zezem na strzykawkę zerka
W kotłowni palacz dołożył opału
Emeryci duszą się w suchotach

Biała rzeczywistość zalewa ściany
Głupiego Jasia dostał sparaliżowany
Spirytus z apteczki podpija inwalida
Smutny anestezjolog otwiera trzy piwa

Na noszach wnoszą jakąś figurę
Sprężony tlen ratuje cudem
W geście hojności daruje karetkę
Praktykant zagryza bułkę pasztetem

NUDA

Topnieją konta jak śnieg na wiosnę
W klepsydrze żółty mamony piasek
Fryzjerka połyka orzechową chałwę
Sięgając do torebki po nowy lakier

Patrzy do gazet, w nich nuda bajońska
Nobla przyznano za viagrę
Samcom szybciej ruszają się lędźwia
Ustawiają się ogonki do aptek

Na poddaszach krawcy kroją miniówki
Latem wzrasta na nie popyt
Lecz po cóż je szyją późną jesienią
Zamiast uszczelniać okna szklaną watą

Żeby na gruszy zawisł choć jeden wisielec
Lub ciężarówka zderzyła się z fiatem
Gapiom potrzebna jest jakaś sensacja
Ktoś musi szturchać tym światem

PAPIER

Jestem niszczycielem
Unicestwiam setki lasów
Jednym ruchem ręki
Ścieram drewno w pyłek

Moim zadaniem pismo
Pokryć papier maczkiem
Zużyć kilka kartek
Z wielkiej sterty paczek

Padają puszcze jak kłody:
Amazońska, Białowieska, Fińska
Dziś napisałem poemat
Jak kornik na baobabu korze

Ach! Napisałbym na sekwoi
Takiej dwu tysiącletniej
Wciąż mi młodnik podrzucają
Na kredowym pióro gryzmoli

Albo na przykład makulatura
Dykta piątej kategorii
Na tym z głupiej fraszki
Dowcip ciężko mi wydobyć

Nie mam już sumienia
Trzymać spółki z drwalem
W rękę ściskam piłę
On szuka zapalek

MOTÓR

Na ulicy stoi motór
Kręcą się przy nim chłopaki
Czyszczą świece, regulują zapłony
Podkrecają gaz dla draki

Ha, łobuzy! Ha, basałyki!
Słuchają głośnej raperskiej muzyki
Pierwszą rundkę jadą powoli
Druga – na ile prędkość pozwoli

Zakopcone szyby sąsiadów
Psu przetrącili nogę błotnikiem
Pod garaż podjeżdża kasiaty Mariusz
Obity Wartburg zamienił na Uno

TE NOTATKI KRÓTKIE BĘDĄ, BO ŚNIEG. Żartuję? Niezupełnie, zima powoduje zwolnienie procesów życiowych. Serce śpiącego niedźwiedzia bije wolniej i serce świstaka też. Woda w małych akwenach się uspokaja nakryta lodem. Ale to tylko jedna twarz natury. Wielkie morza i oceany, dla równowagi, szaleją, kipią, szarpiają, potykają nadbrzeżne klify. Wieczny ruch, aczkolwiek przestrzennie przemienny.

U pani K., która wróciła z grudniowego sanatorium (a osoba wielce już niemłoda, bo w moim wieku), serce bije i szybko, i mocno jak dzwon Zygmunta. Oto siła miłości. Pijemy za nią, stojąc po kolana w śniegu, butelkę szampiana. Przed nami mały lasek, potem coraz wyższy. Gałęzie pokryte sadzią, srebrną, jakby zawieszoną w powietrzu. Jeszcze śliczniej w okresie świąt, na Placu Biegańskiego drzewa: srebrzysta pajęczyna na tle granatowo-czarnego nieba. Ale teraz to natura naśladuje sztukę.

Za zdrowie! – woła Janek. – Co tam zdrowie – odkrzykuje K. – Za miłość! – I wychyla do dna szklaneckę napoju. Oczy jej błyszczą dziewczęco, jak gwiazdy, co przyfrunęły z dziennego nieba. Poślizguje się moja laska i twarzą walę się w biały puch.

* * *

*tańczyły tak niegdyś kreteńskie dziewczęta
dokoła ołtarzy, przy śpiewie i graniu,
lekkimi stopami kwiat deptając i trawy
[...]
lecz ja wspaniały otrzymałam dar
od złotych Muz, i nawet kiedy umrę
nie będę zapomniana...*

Tak napisała poetka żyjąca ponad dwa i pół tysiąca lat temu, urodzona na greckiej wyspie Lesbos. Domyślają się pewnie Czytelnicy o kogo chodzi. O Safonę. Przed kilku laty wyszła mała książeczka (w czerwonej okładce) pt. „Pieśń miłosna Safony”. Niewielkie to dziełko i zawierające niewiele słów. Safona z Lesbos przeciętnemu czytelnikowi kojarzy się z miłością lesbijską. Czy słusznie – do dzisiaj nie wiadomo. Miała zresztą męża i ukochaną córkę. /„Oto rozkwita mi córka,/ jak piękny, złocisty kwiat,/ pełna uroku i wdzięku,/ najmiłsza moja Kleis...”. Po wiekach surowi bizantyjscy chrześcijanie posądzali obie kobiety o miłość kazirodczą. Także i w czasach jej współczesnych. Została wygnana na Sycylię. Wcześniej jednak, jakbyśmy powiedzieli złowieszczym językiem, prowadziła pensję dla

dziewcząt z arystokratycznych domów. Głównie przygotowywała je do małżeństwa. Pewnie niektóre z nich przypadły jej do serca. Jak bardzo – tej sprawy rozwiązać się dzisiaj nie da.

Safona pisała dla swych młodzieńskich, pięknych przyjaciółek pieśni weselne (epithalamia), które odzwierciedlały miłość, wszystkie obawy i pragnienia wychowanic. Żyła intensywnie, miała również idealnych kochanków, do których pisała również erotyki. Legenda już w starożytności głosiła, że zakończyła życie skacząc do wody z powodu rozczarowania miłosnego.

Z jej twórczości przetrwały strzępy. Kilka wierszy w całości i bez liku fragmentów składających się nierzadko z niepełnych zdań lub nawet jednego słowa. Chrześcijanie świadomie niszczyli dorobek literacki Safony. Wiele utworów spłonęło podczas pożarów klasycznych, starożytnych bibliotek. Niektóre fragmenty wierszy zachowały się na odkopanych wazach greckich /„Słowa, którymi władam, powietrzem są tylko, a jednak cieszę nimi słuchających”/.

Przeciętny czytelnik zna imię Safony, greki jednak nie, a poezja w ogóle, moim zdaniem, nie jest przetłumaczalna. To tylko cień oryginału.

* * *

Piotr I kazał batożyć swych poddanych, jeśli nie zgolili bród. Putin w Warszawie miał podbródek gładki, elegancki garnitur, rękawy marynarki nie sięgały palców (w przeciwieństwie do Chruszczowa i jego poprzedników). Robił wrażenie linoskoczka, akrobaty. Ale polityka (i politycy) jest dla mnie obrzydliwa. Wolę Safonę, nawet nieżyjącą. Jestem sam w moim pokoiku (żona pielęgnuje chorą koleżankę) pośród nieładu papierów, czasopism, książek, choć lubię porządek. Moje wewnętrzne sprzeczności! Umieram nieraz z nudów w dobrowolnej samotności, aczkolwiek przepadam za towarzystwem mądrych (nie przemądrzałych, których najwięcej) ludzi.

Okno, przeciwny blok, jaki od lat dusi mi oczy. Jestem bowiem człowiekiem „przestrzennym”. Pola, las, jakiś przysiółek daleko pod horyzontem. Wieczorem w TVN wciąż strzelają, samochody najeżdżają na siebie. I zawsze kobieta i Murzyn. Nic z tego nie rozumiem i tęsknię za włoskim filmem neorealizacyjnym. Stało się w Łodzi, w kolejce po bilety, kilka godzin. Były to lata pięćdziesiąte i młodość nieustannie krążyła wokół mojej głowy jak żądliwa osa. Raz pierwszy i ostatni ulegałem wtedy modzie. Ubierałem się na czarno i z takimi czarnymi przyja-

ciółmi i przyjaciółkami nudziliśmy się (też na modłę tamtych lat) gadając o Sartrze, egzystencjalizmie i psychicznym kosmosie człowieka. Bez entuzjazmu. Też dla stylu.

* * *

Przyjeżdża fotograf z Wydawnictwa. Ze sprzętem, lampami itd. Tylko nie na tle biblioteki z książkami, przy biurku, przy maszynie do pisania! – błagam. Nie pomaga. Płaci przecież Wydawnictwo. Każe mi usiąść na fotelu, pochylić nieco głowę oraz przytknąć palec do prawego policzka. Poza zamyślonego poety. Nad czym – myślę – nad własną głupotą? Nie znoszę takich póz, gdy ma się wyglądać mądrzej od samego siebie. Ale fotograf miły, kulturalny, rozmowny. Musi przecież jakoś mnie ustawić, poskromić mój luz i bylejakość.

* * *

Łapię się na skłonności do ekspresjonizmu. To nic dobrego, to miazga, przerost formy tak duży, że staje się bezkształtnością. Jak tkanka, w której pękają naczynia i krew zabarwia wszystko na fioletową czerwień. Proza powinna dawać mądry odpoczynek. Jesteś w klasycznym wieku i umiesz określić kilka najważniejszych proporcji. Znasz niejedną prawdę, znasz dobrze samego siebie, ale nie do reszty. Wiesz, iż w ostatecznym rachunku **słowa** w literaturze (w przeciwieństwie do życia) są niczem. Przybosiowski „słownik” to doskonały błąd doskonałego poety. Takie pomyłki mają większą siłę, niż niektóre prawdy. To tak, jak z owym złym duchem, co chcąc czynić zło, czyni dobro. Wielkie pomyłki zbliżają do prawdy.

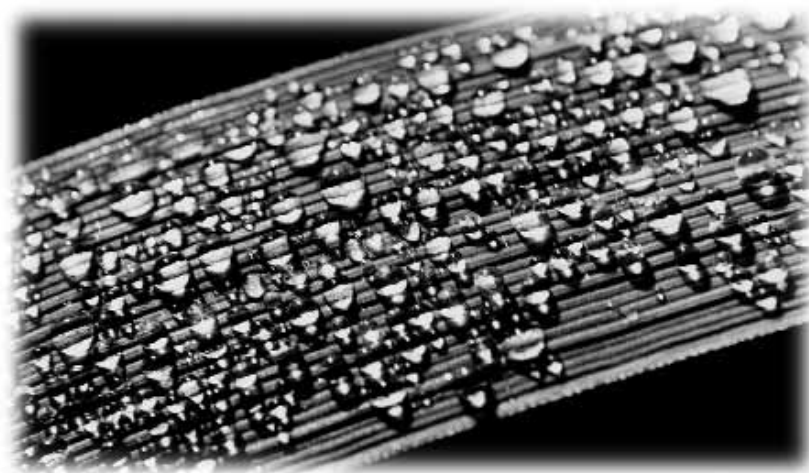
* * *

Gwałtowne dmuchy wiatru porywają tumany śniegu, zamiatają nimi błyszczące szkliwo pól. Pędzące na zatracenie chmury pyłu niekiedy nieruchomieją, okręcają się i wyskakują w górę lodowym słupem. Śnieg wciska się w oczy, za kołnierz. Najsilniejsze wiewy wnikają mrozem w ciało, powodują białą ciemność: nic nie widać, otumaniona jest nawet, widoczna dotychczas w prześwitach, ściana lasu, kusząca odpoczynkiem i spokojem. Arytmia zimnych, świszczących oddechów powoduje wściekłe wiry. Wiatr uderza z przodu, innym razem z tyłu, szarpie za

kaptur kurtki, przewraca na kolana.

Brnięcie w takich warunkach przez śnieg jest powolne i ciężkie, odbiera oddech, wycieńcza. Ale idziesz mocując się z tym srebrnym szaleństwem, jakie się tu, na równinach nie zdarza często. Jesteś bity po twarzy mroźną deską powietrza, śnieg oblepił cię ze wszystkich stron. Ale idziesz naprzód szczęśliwy tym szczęściem, które wynika z tego, że przemocą odpowiadasz na przemoc natury. To jakiś atawizm zmusza cię do zadawania sobie radosnego bólu. Potrzeba walki (może tylko jej namiastka?) tkwi w twojej naturze, w twojej świadomości. Pięknie tak brnąć, zмагаć się i krzyczeć w srebrnej zawieii, krzyczeć prawie zwierzęcym głosem.

Więc wyjdź z ciepłego mieszkania, zmierz wąty oddech i mdłe ramiona z siłą natury, zmagaj się z nią jak bestia. Bo inaczej zmienisz się do reszty w pokojowego, potulnego i smutnie przemądrzałego psiaka.



fot. Marek Niedostatkiwicz

* * *

Kobieta tuż po porodzie. Gdy dochodzi do siebie, pielęgniarka przynosi noworodka i kładzie przy matce, która widzi swoje pierwsze dziecko. Uśmiecha się zadziwiona cudem pojawienia się małego człowieka, przytula dziecko do siebie, delikatnie całuje, przeżywa **Najpiękniejsze**. Po kwadransie noworodka zabierają. Położnica musi odpocząć. Zасыpia szczęśliwa.

Czemu rysuję tak banalną scenkę w tysiącach szpitali? Odpowiedź będzie dla czytających śmieszna pewnie. Ponieważ od lat marzyłem, żeby doświadczyć przeżycia. Ale to pragnienie – niemożliwe, jestem wszak mężczyzną. Zakosztować **cudownej** pół godziny i wrócić do męskiego ciała. ■

ROZMAITOŚCI

Styczeń w OKF-ie zaczął się przeglądem „Kina egzotycznego”. Przez kilka dni można było obejrzeć filmy produkcji np. nepalskiej czy irańskiej. Kino irańskie jest bardzo cenione i odnosi wiele sukcesów na festiwalach w Europie. Wszystkie ich filmy zaczynają się formułą „W imię Allaha”, co jest egzotyka samą w sobie. Przeglądy tego typu były do tej pory zarezerwowane dla dużych miast w Polsce, więc cieszy zapowiedź następnych, podobnych imprez w Częstochowie. Data otwarcia pierwszego multiplexu w naszym mieście nadal jest nieznaną.

Kinomani śledzący drogę twórczą Łukasza Wyleżałka mogli obejrzeć 11.02. w Teatrze Telewizji spektakl pt. „Brat Elvis” Maryny i Michała Szczygalskich. Ci którzy pamiętają ubiegłoroczną produkcję o staraniach Zakopanego do organizowania zimowych Igrzysk Olimpijskich, mogą posądzać reżysera o progóralskie sympatie, gdyż „Brat Elvis” to także historia „spod samiuśkich Tatr”, w której bogaty polonus z USA odwiedza gnuśnych krew-

nych na Podhalu i razem szukają ducha legendarnego Sabaty. Mimo że rzecz błaża – warto obejrzeć, bo prawda o polskiej mentalności w ujęciu Wyleżałka jest groteskowo – rubaszna. Dobra obsada – występują m.in. Marek Kondrat, Grzegorz Warchoł, Jan Jankowski. Muzyka – J.Y. Iwański.

Pierwszą premierą w Teatrze Dramatycznym im. A. Mickiewicza była „Pułapka na myszy” Agathy Christie w reżyserii Jana Bratkowskiego. A. Christie – znana na całym świecie głównie za sprawą powieści kryminalnych, napisała też w 1975 r. w miarę lekką, ale dobrze skonstruowaną sztukę kryminalną, w której morderca chodzi po scenie do ostatniego dialogu. Wielką atrakcją był też marcowy spektakl Bogdana Cioska (Chorzowski Teatr Rozrywki) z Henrykiem Talarzem i Maciejem Stuhrem (juniozem) „Zbrodnia i kara” wg F. Dostojewskiego. Odnowiony teatr obchodzi w tym roku jubileusz 75-lecia istnienia.

W OPK Gaude Mater 13.02. gościł na koncercie grupy jazz-rockowej „Made in Quartet” popularny perkusista kubański, znany z „Wieczoru z Jagielskim” – Jose Torres.

Świąteczna Orkiestra Jurka Owsiaka na początku stycznia zgromadziła tradycyjnie na Placu Biegańskiego dużą publiczność, głównie młodzieży bawiącej się przy muzyce grup „Blenders”, „Sonet”, „Kolor”, „Maraton”, „Habakuk”, „Ferid” i in. Szczególnie dobre wrażenie zrobił reggowy „Habakuk” wzbogacony ostatnio o dźwiękowe efekty specjalne. Grupa potrafiła rozbić monotony schemat większości piosenek tego nurtu i nadać swojej muzyce bardziej drapieżne, rockowe brzmienie. (S.B.)

Z MIASIA

CZY Z GZYMSU BĘDZIE DYM?

Marcin Klimas i Mariusz Rogacz zaczęli od happeningów teatralnych w klubach studenckich. Podczas jednego z występów prezentowali krótkie dialogi na temat inteligencji w oparciu o teksty Rolanda Topora. Byli jednak rozzarowani reakcjami „pubowej” publiczności. W końcu wpadli na pomysł stworzenia własnego teatru i... udało się. Skompletowanie odpowiedniej obsady okazało się najtrudniejszym etapem organizowania amatorskiego teatru. W osiedlowym Domu Kultury przy ulicy Czecha odbyły się przesłuchania.

– Kiedyś przyszła do nas cała klasa – wspominają. – Nie wszystkie jednak osoby zdawały sobie sprawę, że udział w spektaklu to prawdziwa praca i nie wystarczy nauczyć się kilku linijek na pamięć.

W końcu udało się zebrać odpowiednie osoby i tak powstała NIEZALEŻNA GRUPA TEATRALNA „Gzysm” – Myślę, że trafnie nazwali swój teatr – komentuje jeden ze stałych widzów. – Trzeba zauważyć, że



Michał Kula i Antoni Rot w „Pułapka na myszy” - fot. Piotr Dłubak

działają w dzielnicy „Północ”, która zwykle kojarzy się z blokowiskiem, graffiti na murach i „Inwazją Mocy”.

Premiera pierwszego spektaklu „Gzysmu” odbyła się 16 czerwca ubiegłego roku. Do pierwszego przedstawienia przygotowywali się cztery miesiące. Marcin i Mariusz nie brali w nim udziału jako aktorzy. Starali się spełniać funkcję reżyserów. Wraz z pięcioosobową grupą amatorów przedstawili „Dziennik paniczny” R. Topora. Wcześniej nie mieli do czynienia z profesjonalnym teatrem i zdawali sobie sprawę z niedojrzałości własnego przedsięwzięcia, ale jednocześnie wierzyli w sens działania. Zabawa „w teatr” była etapem poszukiwań artystycznych. Na zorganizowanie drugiego spektaklu otrzymali dofinansowanie z Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego. Marcin od dawna interesował się Witkacym, więc postanowili wyreżyserować „Pragmatystów”. Scenografię opracował Piotr Halter, a w spektaklu udział wzięli: Anna Chwała, Olga Milewska, Patrycja Trzepizur, Dawid Jagusiak i Rafał Jasiński. „Gzysm” prezentował się już kilkakrotnie w sali widowiskowej Osiedlowego Domu Kultury. Marcin i Mariusz postanowili jednak poszerzyć działalność artystyczną. Poszukują osób piszących (poezja, scenariusze filmowe i teatralne, dramaty). Ich nowa formacja będzie nosić nazwę „wytwórnia artystyczna DYM”. Chciałoby się powiedzieć na koniec: „Nie ma DYMU bez ognia”, ale ogień w tych młodych ludziach ciągle się tli, dlatego życzę im powodzenia.(W.G.)

ZŁOTA PIĄTKA FILMÓW ROKU 2001 W/G WIDZÓW OKF

1. „Requiem dla snu” - D. Aronofsky
2. „Shreck” - A. Adamson
3. „Cześć Tereska” - R. Glinski
4. „Billy Eljot” - S. Daldry
5. „Dziennik Bridget Jones”
- S. Magrire
„American Beauty” - S. Mendes

DANCE MACABRE W OPK

30 stycznia b.r. w OPK „Gaude Mater” odbył się wieczór autorski Piotra Macierzyńskiego z Łodzi. Było to czwarte spotkanie poetyckie zorganizowane przez Szymona Grzegorzewskiego. Piotr jest znany w środowisku literackim w Częstochowie, ponieważ był pięciokrotnym laureatem OKP im. H. Poświatowskiej. Poeta zaprezentował na wieczorze wiersze z debiutanckiego tomiku pt. „Dance macabre i inne sposoby spędzania wolnego czasu”. Zbiorek ukazał się w ubiegłym roku w krakowskim wydawnictwie „Zielona Sowa”. Krytycy zwykle porównują twórczość Macierzyńskiego do twórczości amerykańskiego poety Franka O'Hara i rzeczywiście w wierszach łódzkiego poety można zauważyć pewne cechy „personizmu”. Jego ulubioną kategorią estetyczną w sposobie prezentacji świata jest groteska. W utworach humor przeplatał się z liryzmem, błazenada z motywami rozpacz. Poeta zaskakiwał publiczność zestawionymi skojarzeniami myślowymi. Tłumacząc tytuł tomiku powiedział, że życie jest pewną formą spędzania wolnego czasu i próbą oszukiwania śmierci, zaś pisanie jest także świadomym oszukiwaniem, bowiem język zawsze kłamie. Po wieczorze nasz gość był trochę rozczarowany częstochowską publicznością, która szczególną uwagę zwróciła na wulgaryzmy obecne w jego wierszach.(W.G.)

KSIĄŻKI

Praktycznie rzecz biorąc co roku ukazuje się nowa, ważna książka o naszej najbardziej znanej poetce – Halinie Poświatowskiej. Tym razem nakładem Wydawnictwa Literackiego została wydana „Nierozważna i nieromantyczna” Grażyny Borkowskiej, która jest historykiem literatury, autorką poczytnych książek z pogranicza filologii, biografistyki i studiów kulturowych, autorką m.in. „Pozytywiści

i inni”. W czterech tematycznych rozdziałach („Matka i córka”, „Podróże”, „Nie tylko liryka”, „Miłość, śmierć i forma”) przeanalizowała na wszelkie psychoanalityczne i literaturoznawcze sposoby dokonania poetki. Według mnie rozkładanie na czynniki pierwsze relacji np. matka – córka pod kątem edypalnym nie zawsze wychodzi książce na dobre, ale partie poświęcone pobytowi Poświatowskiej w USA są dosyć zajmujące. Otóż okazuje się, że Nowy Jork i bogactwo Ameryki nie zrobiło na poetce żadnego wrażenia, niemal całkowicie zostały pominięte w jej twórczości. G. Borkowska rysuje postać żyjącą w swoim świecie zainteresowań estetyczno-fi-



lozoficznych, egocentryczkę skupioną krańcowo na swoim własnym życiu. Jest to na pewno bardzo ważne i kompleksowe opracowanie twórczości Poświatowskiej, chłodne, naukowe, bez dramatycznej nutki sentymentalizmu. Książka trudna, nie dla wszystkich, według Mariana Stali „błyskotliwa, pełna inwencji i wrażliwości podróż w świat przeżyć, myśli i wierszy Poświatowskiej”.(S.B.)

Z ciekawszych książek, jakie się ukazały w Częstochowie na początku roku warto odnotować „Poradnik ortograficzny” Stanisława Podobińskiego, „Śląski Tygiel” Marka Cetwińskiego (Wydawnictwo WSP), „Dzieje Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Częstochowie” ks. Henryka Kurzawy, „Jasnogórska Golgota” Jerzego Dudy Gracza i „Kalendarium Częstochowskie” Janusza Pawlikowskiego. Pierwsza zwraca uwagę ze względu na objętość (1198 stron) i jest rodzajem kompendium wiedzy ortograficznej (S. Podobiński jest wicemistrzem ortografii z 1991 roku). Książka składa się z części słownikowej i poradnikowej, więc każdy kto ma wątpliwości na temat pisowni może do niego zaglądać. Marek Cetwiński – historyk z WSP, w „Śląskim Tyglu” analizuje przemiany, jakie się dokonały na średniowiecznym Śląsku. Dotyczy ona głównie dobrowolnej germanizacji tych terenów, która dokonała się dzięki dominacji cywilizacyjnej Niemców (prawo, technika). Warto pamiętać, że w średniowiecznej Polsce na 1 mln mieszkańców przypadało 100 tys. niemieckich osadników! Stosunek 1:10 to bardzo dużo i nie sposób nie zauważać wielowiekowej obecności naszych sąsiadów w naszej kulturze i języku. Trzecia książka jest potwierdzeniem tego, co napisałem wcześniej. Wydana dzięki pomocy Urzędu Miasta i Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej przez byłego proboszcza miejscowej parafii ewangelickiej, opisuje wkład tej wspólnoty w życie Częstochowy od XVIII w. do dziś. Do nabycia w siedzibie parafii przy ul. Śląskiej. Album J. Dudy Gracza zawiera prace z ekspozycji na Jasnej Górze. Droga krzyżowa (którą opisywaliśmy jesienią ub. roku) poszerzona jest o dokumentację powstawania dzieła, okolicznościowe fotosy, wersje stacji, które się nie znalazły na wystawie (wyd. „Paulinianum”). Janusz Pawlikowski długo nie chciał zdradzić o czym będzie jego następna książka, ale teraz już wiemy. Pasja kronikarska dziennikarza „Życia Częstochowy”

znalazła spełnienie w „Kalendarium...”, będącym wyborem dat z historii naszego miasta i jego mieszkańców od roku 1220 (wyd. „Kropka”). O tej książce napiszemy szerzej w następnym numerze.

LARIFARI

Interesującą płytę u schyłku ub. roku wypuściła na rynek firma Gigant Record. „Larifari” to nowa grupa hip-hopowa składająca się z częstochowian (Maciek Szewczyk, Jacek Fedkowicz, Wojtek Fedkowicz, DJ Haem) i krakowianki Pauliny Kujawskiej. Paulina do niedawna śpiewała w chórkach Ewy Bem i wpływ tej piosenkarki wyraźnie słyhać na płycie. Realizacji nagrań do płyty „Dusza” dokonano w „Radio-

aktywnym Studiu” w Częstochowie, a okazji udzielał się też miejscowi starsi muzycy: Mateusz Pospieszalski, Janusz Yanina Iwański i in. Projekt okładki wykonał Jacency Dędek, wzięty fotoreporter „Dziennika Zachodniego” – a więc produkcja niemal całkowicie jurajska. Chociaż na płycie znajdują się pseudonimy hip-hopowców, muzyka zdecydowanie odbiega od tego nurtu ku ciepłym, spokojnym brzmieniom z pogranicza jazzu i soulu (piosenki na brzydką pogodę). Sympatyczne, że grają młodzi ze starszymi, a większość piosenek można usłyszeć w radiowej „Trójce”, której realizatorom bardzo przypadły do gustu. Menedżer grupy zapowiada, że wkrótce w tej stacji będzie można usłyszeć kolejne grupy z Częstochowy. Czyżby nastąpił renesans częstochowskiej sceny muzycznej?(S.B.)

Fot. Jarosława Dędką (fragment) z wkładki do płyty p.t. „dusza”



Spacerkiem po wystawach

Władysław Ratusiński

SPACERKIEM PO WYSTAWACH” – pisał kiedyś Ignacy Witz w „Życiu Warszawy”. Taki tytuł sugeruje, że wystaw, które warto zobaczyć jest więcej, w różnych miejscach. I rzeczywiście.

W Miejskiej Galerii Sztuki – miała miejsce ekspozycja I Ogólnopolskiego Konkursu na Obraz dla Młodych Malarzy im. Mariana Michalika, tak jak i sam konkurs przygotowana przez komisarza Piotra Głowackiego. Decyzją jury pod przewodnictwem profesora Grzegorza Pabla z Warszawy, Grand Prix Ministra Kultury i Sztuki otrzymała Grażyna Smalej, jedyna właściwie osoba uczestnicząca w wystawie, która tak wyraźnie pokazała, że umie malować postać ludzką. Dla laureatki ważna jest również warstwa symbolicznych znaczeń obrazu. Nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy przyznano Arkadiuszowi Zającowi, którego prace rozwijają fascynację secesją i współczesnymi baśniami. Nagrodę Dyrektora Miejskiej Galerii Sztuki otrzymała Elżbieta Kapusta za jeden z obrazów, w których dostrzegam dążenie do pejzażu metafizycznego, nawet mistycznego. Wyróżniono ponadto Agnieszkę Kwapisz, Monikę Kazimierczak i Przemysława Kossakowskiego. Wystawa świadczy o tym, że młodzi artyści nie stracili zainteresowania malarstwem oraz iż podziały wiekowe – przynajmniej wśród artystów malujących – są czymś raczej sztucznym i nie pozwala na wyodrębnienie jakiejś postawy czy tendencji charakterystycznej dla pokolenia. Odbieram ją jako fragmentaryczny obraz tego, co się w ogóle w polskim malarstwie dzieje. Tym bardziej, że granice

wieku obejmują zarówno debiutantów, jak i twórców w pełni ukształtowanych, w niektórych przypadkach mogących nawet mieć już swe największe osiągnięcia twórcze.

Z drugiej strony liczba zakwalifikowanych uczestników, umożliwiającą zrobienie wystawy w największej sali Galerii, świadczy o zapotrzebowaniu na tego rodzaju przedsięwzięcia. Podobne prezentacje sztuki młodych organizuje Wrocław, a także – latem tego roku – Kraków. Dobrze, że Częstochowa, dzięki inicjatywie Miejskiej Galerii Sztuki, ma szansę stać się jedną ze stolic młodego polskiego malarstwa. Dobrze też, że jest to wyraz pamięci o wybitnym twórcy, a naszym koledze.

Zrezygnowano w tym roku z zamierzonego sympozjum. Zmuszeni przez Dyrektora, laureaci kolejno zabierali głos na wernisażu i jak jeden mąż wyrażali swą wdzięczność i treść oraz przekazywali pozdrowienia. Zapowiedziano kontynuację imprezy w formie triennale. Komisarz obiecał, że będzie dążył do tego, aby poziom był tak wysoki, by nagrody przyznawać nieomal losowo – i by następnym razem można było z wystawy wynieść wszystko, co się da.

Spóźniłem się na kolejną wystawę zorganizowaną przez Marka Czarnońskiego w Ratuszu. Żałuję bardzo, szczególnie dlatego, że jednym z artystów, których obrazy tam pokazano, był Jan Dutkiewicz. Darzę sentymentem twórczość tego malarza, profesora Akademii z Katowic. Kiedyś, jeszcze z rodzicami, poszliśmy na dużą wystawę zbiorową w Katowicach, w salach na Dworcowej, na piętrze. I wśród wielu obrazów, jakie tam wisiały, od razu zwróciliśmy uwagę na dzieła jednego artysty – i zapamiętaliśmy go dobrze. Później z przyjemnością oglądało się te mocne, tchnące świeżością, zdecydowanymi, bogatymi impastami malowane krajobrazy, na poplenerowych wystawach „Jurańskiej Jesieni”. Dobrze, że twórczość nieżyjącego już Profesora znów trafiła do Częstochowy.

Jest jeszcze Pawilon Wystawowy w Parku Staszica, a w nim dwie wysta-

wy. Pierwsza to malarstwo i tkanina Ludwika Maciąga. Autor, krzepki kawalerzysta, profesor warszawskiej ASP, właściciel domostwa z drewnianych bali na Podlasiu, kilku koni i psów. Nadal jeździ konno. Około dwu lat temu przyprowadził pielgrzymkę kawalerii na Jasną Górę. W jego obrazach olejnych pojawiają się wątki literackie i historyczne: konny „Arab z orłem”, husaria. Jest też obecny dramat przeżyć wojennych. „Po nalocie”, „Spalone drzwi”, „Jeńcy” – są próbą przekazania tragizmu tamtych lat, znanych autorowi z osobistego doświadczenia walki w oddziale partyzanckim („Autoportret”). Te doświadczenia dają poczucie dystansu wobec godnych politowania współczesnych entuzjastów horroru, którzy szczęśliwie nie mieli okazji przeżywać go sami. Wojna jest zawsze okropnością, niezależnie od tego, jak ładnie ją malowano.

Pojawia się także inny wątek osobisty: liryczny portret żony z przymiłającymi się do niej kotem i psem. Oddzielną grupę obrazów – olejów i akwarel – stanowią pejzaże: przeważnie okolic nadbużańskich, choć jest i pejzaż walijski, mający w sobie coś z „Krajobrazu z Tobiaszem” Malczewskiego. Surowe, proste, piękne zwyczajnością płótna ukazują jesienne pola z rytmem miedz, ognisk, kup nawozu i gawronami żerującymi na świeżo zoranej ziemi. Jednak największą grupę stanowią te dzieła, w których królują ukochane przez artystę konie: sokółak, ogiery zimnokrwiste, czwórka bałagulska, araby. Dynamiczne, tworzone z ogromną pewnością, przywodzą na myśl takich mistrzów w malowaniu koni jak Michałowski lub Chełmoński – ale są na wskroś indywidualne. Solidna znajomość budowy konia i wycucie jego ruchu pozwalają artysty czuć się w tej trudnej tematyce swobodnie. Jak twierdzi, zapewniła mu ona niezależność od mód i nacisków politycznych.

Ludwik Maciąg konie wprowadza też do tkanin, w których używa oryginalnego tworzywa – sznurka do snopowiązałki. Konie występują w wiew-

skich scenkach rodzajowych oraz w scenach myśliwskich, tematycznie przypominających Maksa Gierymskiego, gdzie leśnymi duktami wiją się barwne węże koni i jeźdźców. Ich sylwetki są uproszczone, czasem nawet lekko

Anna Dylewska, historyk sztuki, kierująca Galerią Malarstwa. Na wernisażu, w którym wzięli udział między innymi: naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Częstochowy Ireneusz Kozera oraz kapelan komba-

koralików. Rośliny i ludzkie twarze włączają się w tę uporządkowaną całość. Kompozycja jest wyważona, koloryt szlachetny. Czasem odbieram go jako nieco mdły – jak zapach farb olejnych wypełniający salę, częściej – jako bogaty i dźwięczny, przesycony słonecznością, a zawsze niezwykle harmonijny, bez gwałtownych kontrastów. Dynamika malarskiego gestu i soczysta materia wtłoczone w konsekwentny porządek nie rozsadzają go. Przeciwnie, wzbogacają, nadają mu wewnętrzne, pulsujące życie – przy całej monumentalnej nieraz hieratyczności. Harmonia znaku, formy i koloru daje widzowi estetyczną i intelektualną satysfakcję. Swoista łamigłówka symboli i dekoracyjnych detali ustępuje czasem miejsca uproszczeniu i czytelnemu dążeniu do symboliki, przy równoczesnym ograniczeniu palety barwnej do jasnego niemal monochromu (ciepłe biele, ryby wpisane w koło).

Tak się składa, że kilku artystów młodszego i najmłodszego pokolenia związanych z Częstochową, połączyło podobne spojrzenie na budowę obrazu i klimat podobnej baśni. Idą oni własnymi drogami, rozwijając właściwe sobie cechy. W Częstochowie można oglądać ich prace. Obok Rafała Głowackiego – Michał Sikorski, który uczestniczy w wystawie konkursowej młodych. Natomiast Radosław Boczek ma indywidualną wystawę w sali „Kameleon” Miejskiej Galerii. Dla tego ostatniego charakterystyczne są w moim odczuciu: żywość koloru, mniejsze wydelikacenie i wysmakowanie, za to większa bezpośredniość wypowiedzi malarskiej, przy całej jej dekoracyjności; pewna ostrość – i humor.

Wystawie Rafała Głowackiego towarzyszy jego niezwyklej urody książka. Pełne uroku, poetycką prozą pisane filozoficzne powiastki-bajki o wędrownkach Kacho bawią i prowokują do myślenia. Ich styl jest żywy, oryginalny, choć autor nie ustrzegł się sporadycznych usterek i błędów językowych. Tekst w książce zestawiony jest z reprodukcjami obrazów. Całość robi bardzo sympatyczne wrażenie. ■

Obraz Janusza Rafała Głowackiego



zgeometryzowane, a wprowadzone śmiało akcenty czystego koloru: czerwieni, oranżu, błękitu dodają całej kompozycji życia i żywiołowości.

Artysta znany jest również z cykli rysunków dla prasy i ze znakomitych projektów znaczków pocztowych, zrealizowanych swego czasu przez Poczta Polską w pięknej serii przedstawiającej konie. O Maciągu-profesorze dobrze świadczy, że publicznie chlubi się swym uczniem – zdobywającym coraz większą popularność – Stanisławem Bajem, który również upodobał sobie tematykę wiejską. Autor pejzaży i sugestywnych portretów chłopskich wystawiał też w Muzeum Częstochowskim w ubiegłym roku.

Wystawa dzieł profesora Maciąga (podobnie jak i Stanisława Baja) zaistniała w Częstochowie dzięki inicjatywie Stanisława Juchnika, który wystawę zorganizował. Wsparcia finansowego udzieliło Stowarzyszenie „Nasza Częstochowa”. We wnętrzach pawilonu zaaranżowała ekspozycję

tantów o. Eustachy Rakoczy z Jasnej Góry – dyrektor Muzeum Iwona Młodkowska-Przepiórowska podkreśliła, iż Muzeum Częstochowskie od wielu lat posiada obraz Ludwika Maciąga, zakupiony przez dra Aleksandra Jaśkiewicza. „Odważny człowiek!” – skomentował Profesor.

Druga ekspozycja w parkowym pawilonie muzealnym to wystawa Janusza Rafała Głowackiego. Duże formaty obrazów, składających się niekiedy z kilku połączonych ze sobą płócien, zajmują ściany sali na parterze. Płaszczyzny koloru wypełnia ornament, który może być obrazem porządku świata, a z całą pewnością ma wielkie walory dekoracyjne. Obok plamy pojawia się linia. Nieraz występują złożenia ryte w warstwie farby, tworzącej prawie malarski relief. Całość działa jak wspaniałe wzorzysty dywan. Szczególnie w małych formatach artysta niejednokrotnie posługuje się drobnymi plamkami barwnymi, stwarzającymi wrażenie nanizanych maleńkich

Sztuka wyboru

Janusz Mielczarek

FOTOGRAFIE PIOTRA HALTERA ZOBACZYŁEM pierwszy raz w katalogu pokonkursowym – „Świat u progu XXI wieku” – jedenaste przykazanie – projekt moich marzeń, organizowanego w roku 2000 przez „Foto Pozytyw” i firmę „Agfa”. Tytuł trzech fotek z cyklu „Stop virtualności” odebrałem jako przynależną młodym przekorę, bowiem forma wskazywała właśnie na wirtualne działanie przy ich tworzeniu. I z takim też nastawieniem oczekiwałem na większą prezentację zdjęć bardzo młodego autora. Miałem się jednak sympatycznie rozczarować.

– Podobno po pierwszym roku nauki w Wyższym Studium Fotografii AFA we Wrocławiu, zrezygnowałeś z kształcenia i obecnie jesteś studentem w Instytucie Wychowania Plastycznego WSP w Częstochowie. Ponieważ zetknąłem się z kilkoma osobami, którym bardzo zależało, by się tam dostać, Twoja decyzja jest zaskakująca.

– Podjąłem ją całkowicie świadomie z kilku powodów. Pierwszy to programowy. Oczekiwałem, że studia na AFIE dadzą mi solidne podstawy do pewnego poruszania się po najważniejszych dziedzinach fotografii, abym wyposażony w zdobytą tam wiedzę mógł później samodzielnie dokonywać wyborów, zgodnie z moimi predyspozycjami i charakterem. To się nie spełniło. Były również inne powody.

– Daleki jestem od oceniania WSF AFA, któremu życzę jak najlepiej – szanując bardzo wkład do polskiej fotografii części pracujących tam wykładowców – ale będąc niedawno jurorem w jednym z ogólnopolskich konkursów fotograficznych, dowiedziałem się od laureata studiującego tam zaocznie i opłacającego wcale niemałe czesne, że jest zobowiązany oddać szkole 40% (słownie – czterdzieści procent) nagrody. Obyczaj to bardzo zbliżony do innych wykoślawień naszego „późno-feudalnego kapitalizmu”, choć warto może przypomnieć, że były i są szkoły i uczelnie, w których studenci zapracowujący na ich splendor są dodatkowo honorowani.

W Polsce istnieje obecnie przynajmniej kilkadziesiąt studiów, studyjek, szkół, szkółeczek, i wciąż ich przybywa, które polecają swoje usługi w kształceniu fotograficznym, artystycznym i Bóg wie jeszcze jakim. Wygląda na to, że rocznie kończy je grubo ponad setka absolwentów

z nadzieją na błyskotliwe, kolorowe kariery, wielkie pieniądze i artystyczne splendory. Jak to widzi środowisko Twoich rówieśników?

– Fotografia to bardzo atrakcyjna dziedzina, a wielu młodym wydaje się, że jest to najprostszy sposób – przy dostępie do sprzętu różnej klasy – aby nie tylko szybko stać się artystą, lub przynajmniej za takiego się uważać, ale także czerpać z tego odpowiednie profity. Dlatego dużo moich rówieśników w skrytości ducha marzy o takich karierach, co jest oczywistym przywilejem ludzi młodych. Są też inni, absolutnie przekonani, że kariera jest w zasięgu ich ręki.

Ze mną jest nieco inaczej. Z zakładem fotograficznym, poprzez pracujących w nim rodziców, byłem – często z konieczności – związany od dziecka. Nie było to oczywiście szczytem szczęścia, wręcz przeciwnie. Ale dopiero będąc w liceum plastycznym, mniej więcej w połowie nauki, zacząłem próbować fotografować na własną rękę i polubiłem to. Było mi łatwiej, bo miałem do dyspozycji przyzwoity sprzęt, skromne studio i życzliwe rady taty, z których nie zawsze chciałem we właściwym wymiarze korzystać.

– Znasz więc fotografię nie tylko z tygodnikowo-telewizyjnego omamu, ale od strony jej szarych realiów.

– To mnie właśnie pociąga. Lubię zwłaszcza cyzelować różne fragmenty kompozycji, w których każdy detal ma tak istotne znaczenie dla całości. Przecież na drodze do realizacji założonego wcześniej pomysłu czeka mnóstwo niewiadomych. Chciałbym w fotografiach przekazywać swoje nastroje, przemyślenia o życiu, przemijaniu, a także bawić się kolorem, formą. Przeżywałem ostatnio rozterki wyboru: fotografia czy malarstwo?

– Nie da się tego rozstrzygnąć rzuceniem monety. Czy sądzisz jednak, że gdyby Tadeusz Kantor porzucił teatr dla malarstwa lub malarstwo dla teatru, to uczyniłby właściwie?

– Nie, oczywiście, ale to był Wielki Artysta!

– Jednak wybory wielkich, to także – w pewnym stopniu – przesłanie, bądź tylko wskazówka dla innych, a jednocześnie zastrzyk odwagi, aby nie podporządkowywać się unifikacji, tak ukochanej przez dysponentów kluczyków od szufladek, pragnących zamienić je w nasze pułapki. Więc się nie dajmy!

Przy rozterkach, o których wspomniałem na początku tego tekstu, sympatycznie zaskoczyły mnie wykonane przez Ciebie portrety, cykle socjologiczno-metafizyczne, architektura. Jest w nich nie tylko subtelne wycucie światła

i bryły, ale także intuicja, ten dodatkowy zmysł niezbędny w procesie tworzenia.

– Chcę podkreślić, że nie wyrzekam się także komputera. To świetne narzędzie dla fotografa i mam nadzieję stosować go tam, gdzie będzie niezbędny, jednak bez „oddania mu się w niewolę”.

– Czy wiążesz swoją przyszłość z zakładem fotograficznym prowadzonym przez rodziców?

– To jeszcze odległa przyszłość. Na razie chciałbym studiować, usamodzielnic się twórczo, ale gdyby zaistniały takie okoliczności, to zrobię to, choć po swoimemu. ■

W pogoni za iluzją

CZAS – NASZ WIECZNY UCIEKINIEM. Człowiek, niepoprawny poszukiwacz recepty na jego zatrzymanie, jako jednym z narzędzi na tej drodze posłużył się sztuką. Także fotografia ma tu swój istotny udział. Częstkę tego w grudniu 2001 oraz w styczniu i lutym roku 2002 zaprezentowała wystawa „Czas w fotografii – czas fotografii” w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie. Ta cenna ekspozycja problemowa zgromadziła dzieła świetnych autorów: **Anny B. Bochdziewicz, Zofii Rydet, Jana Bułhaka, Maurizio Buscarino, Bogdana Dziworskiego, Mariusza Hermanowicza, Tadeusza Kantora, Jerzego Lewczyńskiego, Wojciecha Prażmowskiego i Sławomira Sikory**. Wszyscy, poza Tadeuszem Kantorem, na fotografiach zrealizowanych głównie w różnych okresach minionego stulecia, krążą na różne sposoby wokół prób zatrzymania chwili, znaku czasu.

Tadeusz Kantor jest wśród tego grona artystą szczególnym, wielowymiarowym, korzystającym w swoich spektaklach z fotografii, które uosabiały „czas zatrzymany”. Przekonują do tego fragmenty scenografii teatralnej i niezwykle rekwiyty-mutanty, połączenie atrapy aparatu fotograficznego na kółkach z karabinem maszynowym, w jednym ze spektakli obsługiwanej przez postać kobiecą będącą alegorią Śmierci.

O krótkie wypowiedzi na temat wystawy poprosiłem jej pomysłodawcę i komisarza – **Barbarę Major** oraz wystawiającego swoje prace artystę-fotografika – **Wojciecha Prażmowskiego**.

Barbara Major: „Przygotowując wystawę, do której zainspirowała mnie książka R. Barthesa – Światło obrazu, starałam się odpowiedzieć na pytanie na czym polega dwuznaczność, a właściwie wieloznaczność fotografii, owego specyficznego „zatrzymania w czasie”. Co nam daje

do myślenia kartonik przedstawiający jeden moment, mgnienie w życiu ludzi, przedmiotów, co może nam opowiedzieć o tych zdarzeniach, ludziach, przedmiotach, jakiego rodzaju „utrwalenie” nam przekazuje, jakie skojarzenia i obrazy, poza tym co przedstawia, wywołuje.

Każde zdjęcie jest częstką czasu, ja do wystawy wybrałam twórców, o wielkości dzieł których świadczy świadomość istoty fotografii i umiejętność patrzenia.”

Wojciech Prażmowski: „Jednym z sukcesów wystawy jest chociażby to, że udało się zgromadzić dzieła takich artystów jak: Zofia Rydet, Jan Bułhak, Tadeusz Kantor czy Jerzy Lewczyński. Na mnie zaproszenie do udziału w wystawie tak podziałało, że stało się pretekstem do stworzenia nowych prac, o których myślałem dużo wcześniej. To było odniesienie się do niezwykle osobistego wątku i próby rekonstrukcji wyimaginowanego czasu moich najbliższych, czyli mamy i taty. Trzy fotografie, w których starałem się to zawrzeć, poprzedzone były wieloma latami prac i podróżami w miejsca, w których się rozgrywały w latach 1925, 1935 i 1939, czyli na Litwę i Białoruś.”

Nie sposób omówić szczegółowo tak dużą i zróżnicowaną ekspozycję. Od strony problemowo-filozoficznej i autorskiej czyni to wydawnictwo przygotowane przez Miejską Galerię Sztuki w Częstochowie, a współfinansowane przez Ministerstwo Kultury oraz Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta w Częstochowie, piórami autorów o znanych nazwiskach: **Sławomira Sikory, Adama Soboty, Katarzyny Barańskiej, Krzysztofa Pleśniarowicza, Zbigniewa Benedyktowicza i Krzysztofa Jureckiego**.

Warto jednak zadać sobie pytanie: na ile tak zwany przeciętny widz odnajdzie przesłanie zawarte w tytule?

Przede wszystkim wystawa ma swój sugestywny i mocno działający klimat, w czym także zasługa aranżu **Barbary Szyc**. Trafia w swój czas. Statyka sytuacji zastygłych na fotografiach i w teatralnych rekwizytach przestrzega przed presją codzienności, w jakiej funkcjonujemy poza jej przestrzenią zobrazowaną na 260 fotografiach, za murami sali wystawowej, w życiu. Serwuje nam migawkowe chwile, także przestrogi i refleksji o naszej ukochanej iluzji zatrzymanego czasu, od której nie możemy się wyzwolić, a która nam towarzyszy przez całe dorosłe życie.

Czy scenografia i rekwizyty teatralne Tadeusza Kantora nie przystają do całości wystawy? – co sugerował jeden z fotografów.

Sądzę, że fotografia ma osobliwy dług wobec Kantora. On to bowiem wprowadził na deski sceniczne szczególne „maszyny fotograficzne” nie jako jeden z gadżetów zawieszonych na ramieniu kogoś z aktorów, ale jako machiny-wyrocznie, upodabniając je do innych narzędzi rozstrzygających w bezwzględny i ostateczny sposób ludzkie losy. Kantor był artystą zbyt przenikliwym, aby ograniczyć funkcje kamery fotograficznej do skrzynki rejestrującej nasz „przyjemny wyraz twarzy”. W zmaganiach z czasem, jakie prowadził w przestrzeni scenicznej nadał fotografii **najwyższą rangę, rangę LOSU!** I dlatego ta ekspozycja pulsowała dodatkowo światłem i powietrzem przepływającymi przez miechy **Jego Nadzwyczajnych Kamer**.

Szkoda, że ze względu na różnych właścicieli eksponatów (**Muzeum Sztuki w Łodzi, Ośrodek Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora – Cricoteka, Redakcja Kwartalnika „Konteksty”**) są niewielkie szanse, aby tę ważną dla polskiej fotografii wystawę można było pokazać w innych, zainteresowanych tym, ośrodkach. Z racji podjętej pracy i przygotowania wydawnictwa korzyści byłoby dla wielu, a przy tym zupełnie podobnie jak przed laty, gdzie z tej samej częstochowskiej galerii rozpoczynały swoją wędrówkę po Polsce tak ważne wystawy jak – „Hasior”, czy „Surrealiści Polscy”. O czym przynajmniej warto pamiętać.

Janusz Mielczarek

Obok, także o wystawie „Czas w fotografii – czas fotografii”, słowami historyka fotografii, Jerzego Piwowarskiego, pracownika naukowego Instytutu Wychowania Plastycznego WSP w Częstochowie.

* * *

Tytuł wystawy, szczególnie gdy ma ona charakter problemowy, często już przed wejściem na salę ekspozycyjną prowokuje dywagacje na temat jej kształtu. Podlegają one następnie weryfikacji i wcześniejsze przemyślenia stają się częścią merytorycznego dialogu z autorem/komisarzem wystawy.

W sposób szczególny przemawia do wyobraźni i pobudza do refleksji poetyckie hasło „Czas w fotografii – czas fotografii”. Zaproponowany temat jest bez wątpienia interesujący, jednak jego atrakcyjności towarzyszy ogromna liczba fotograficznych zjawisk, które można z nim łączyć. Przemijanie jest bowiem wpisane w to medium. Przytaczając słowa Stachury, który te różnorodność uważał za punkt na styku między przyszłością a przeszłością, nie sposób nie uznać, że każde zdarzenie dziejąc się, niemal natychmiast staje się częścią historii. Czy zatem istnieje fotograf-twórca, który nie ma tej świadomości wobec używanego narzędzia i rejestrowanych sytuacji? Nieco przydługi wstęp ma za zadanie przede wszystkim ukazać podstawowy problem pomysłodawcy wystawy: określenie mechanizmu doboru autorów i ich prac. Czy jako klucz ma posłużyć zadeklarowane w różnej postaci zainteresowanie twórców przeszłością, czy też sentyment własny autora wystawy do fotografii, które pochodząc z różnych czasów staną się ilustracją przeszłości? Do ekspozycji zaklasyfikowane zostały prace spełniające warunki obu wątków, jednak – jak mam wrażenie – w stopniu mogącym problem raczej zasygnalizować. Szczególnie dotyczy to fotografii z przeszłości. Mimo iż w naszym kraju historia fotografii jest dziedziną stosunkowo młodą, od lat znane są „pierwsze” nazwiska jej twórców. Na wystawie nurt ten został jednak sprowadzony do „fotografii krakowskiej rodziny” i licznych (część wspaniałego zbioru Muzeum Sztuki) prac Jana Bułhaka. Pierwsze to typowa codzienna fotografia rzemieślnicza, zaś w drugim przypadku prace miłośnika artysty (posiadającego od 1912 roku własną pracownię), którego znamy przede wszystkim, jako rejestratora pięknych widoków. Jeżeli miała to być wizja upływu czasu uzyskana dzięki fotografii dokumentującej epokę, to ogromna przestrzeń między obu prezentacjami została wypełniona – jak sądzę – zbyt skromnie. Może prace Bułhaka znalazłyby wyraźniejsze uzupełnienie i uzasadnienie np. w „Widokach m. Warszawy” Karola Beyera z 1859 roku czy po-

chodzących z lat 70. XIX w. (i późniejszych) „Widokach Warszawy” Konrada Brandla? Sądzę, że obok Bułhaka – traktowanego także, jako sztandarowy fotograf okresu międzywojennego – mogłyby się pojawić nazwiska innych współczesnych mu twórców. Pomocny w tym względzie byłby na przykład „Katalog fotografii krajoznawczych ze zbioru Mieczysława Orłowicza” (Warszawa 2000) przechowywanych (podobnie jak prace Bayera i Brandla) w Bibliotece Narodowej. Jeśli nie piękne pejzaże, czy widoki miast, ekspozycję mogły wzbogacić choćby socjologiczne prace Benedykta Rotenberga (Dorys) z Kazimierza nad Wisłą (1931-32) lub Stefana Kielszki z Lublina (po 1933 roku).

Bardziej rozbudowany został wątek artystów, dla których zjawisko upływającego czasu stało się inspiracją twórczości. Prace Anny Bohdziewicz, Bohdana Dziworskiego, Mariusza Hermanowicza, Jerzego Lewczyńskiego, Wojciecha Prazmowskiego i Zofii Rydet w sposób oczywisty doskonale ilustrują to założenie. Niestety, poza nimi lokuję Maurizio Buscarino, który reprezentowany był tylko przez zestaw prac dokumentujących działania teatralne Kantora.

Z jego (Kantora) osobą związany jest także odmienny sposób prezentacji, do której wykorzystano elementy scenografii zainspirowanych fotografią-czynnością. To ciekawe zróżnicowanie eksponowanych obiektów niesie jednak ze sobą pewien niedosyt: zabrakło na wystawie prac w sposób ewidentny łączących tworzywo fotograficzne i refleksję o przemijaniu. Napisał o nich w katalogu Krzysztof Jurecki, który wymienił m.in. assemblage „Portret matki” (1976) przechowywany w Muzeum Sztuki w Łodzi i „Autoportret” (1977) z krakowskiego Muzeum Narodowego.

Wspomniani twórcy reprezentują nurt, który roboczo określiłbym estetyzująco-lirycznym. Bardzo ciekaw jestem relacji, jaka wystąpiłaby na wystawie, gdyby obok zaprezentowano analityczne wobec medium i rzeczywistości „Egzystencje” (1966) Zbigniewa Dłubaka, „24 godziny – 11.11.1970” Natalii LL czy „Ja, ty, on” (1970) Andrzeja Lachowicza. Napięcie bez wątpienia by wzrosło, gdyby zestaw uzupełnić o prace (np. „Od Syberii do Cyberii”, 1999) prowadzącej dyskurs z Historią Zofii Kulik...

Wystawie towarzyszy katalog, który zawiera sześć bardzo interesujących wypowiedzi związanych z hasłem ekspozycji. Są to eseje dotyczące problemu relacji fotografia-przemijanie, twórczości Kantora oraz wywiad z A. Bohdziewicz. Krzysztof Jurecki jest jedynym autorem, który odniósł się do wystawy w sposób bezpośredni i zaprezentował twórcze sylwetki autorów eksponowanych prac. Uczynił to „nie wnikając w zasadność wyboru”, co potwierdza możliwość (również niniejszego) zastanawiania się nad nim. Ponadto katalog zawiera noty biograficzne artystów oraz 22 czarno-białe reprodukcje. Niestety, nie ma w nim spisu eksponowanych prac, które – same w sobie niezwykle interesujące – warto byłoby mieć wynotowane w komplecie. W katalogu znalazł się także „Wstęp” utrzymany w konwencji pozostałych tekstów, który kończy sugestia, by wziąć udział w dialogu między słowami (opublikowanych wystąpień), fotografiami oraz scenografią, które wzajemnie się oświetlą i dopowiedzą. Jest to piękne i poetyckie zaproszenie, ale – czego niesłychanie mi brakuje – pozbawione rzeczowego uzasadnienia podjęcia tematu oraz, wspomnianego na początku, systemu doboru autorów i ich prac. Tym samym autorka przyzwala na istnienie ewentualnych, mniej lub bardziej racjonalnych, wątpliwości i sugestii różnych malkontentów...

Mimo powyższych uwag należy pogratulować B. Major i Miejskiej Galerii Sztuki pomysłu i jego finalizacji. Przypuszczać tylko mogę, że koniec wieńczący dzieło jest wypadkową wielu czynników m. in. posiadanych środków finansowych („budżetówka”...), współpracy z dysponentami planowanych do pokazu fotografii i kwestii tak prozaicznej, jak wielkość sali ekspozycyjnej. Skuteczność podjętych działań pozwoliła nam na rzadką w Częstochowie przyjemność oglądania oryginałów prac artystów, którzy powszechnie funkcjonują w opracowaniach dotyczących współczesnej polskiej fotografii artystycznej. Mimo subiektywnego charakteru przygotowanego zestawu, nie sposób przejść obojętnie obok zgromadzonych na wystawie znakomitości. Myślę, że przy okazji można mieć także nadzieję na dalsze tego typu prezentacje...■

Jerzy Piwowski

ZAGLĄDAJ NA STRONY SERWISU INTERNETOWEGO „ALEJ 3”:

<http://www.aleje3.now.pl>

Wymiana myśli w już otwartej Księdze Gości naszego serwisu.



Fotografie Janusza Mielczarka z wystawy „Czas w fotografii – czas fotografii”





Ludwik Maciąg „Na czatach” (detal)